

MILTON POSAGU.

Original of J. L. M.



MILJON POSAGU

POWIEŚĆ

PRZEZ

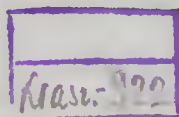
J. I. KRASZEWSKIEGO.

TOM I.

WARSZAWA,

Nakład i druk S. Orgelbranda Księgarza i Typografa
przy ulicy Miodowej Nr. 496.

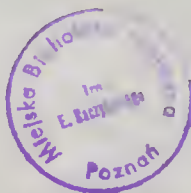
—
1847.



Wolno drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury
po wydrukowaniu, prawem przepisanej liczby exemplarzy.

Warszawa dnia 10 (22) Maja 1846 roku.

Cenzor Niezabitowski.



TOPOGRAFIJA.

Tom I.

1

TOBACCO

1871

TOPOGRAFIJA.

Oj tak, tak Mości Dobrodzieju!

— Co chciałem mówić —

— Owoż mociupanie — Już czwarta, a taka
spiekota.

— O! gorąco!

— Żarem pali — będzie dészcz.

— Niezawodnie — parzy. Na moją hreczkę,
jeśli wypadnie nawalny, zginiona.

Te i tym podobne urywki rozmowy i wykrzykniki, dobywały się z ust kilku osób zgromadzonych w dość obszernym pokoju, w domu wiejskim, dowodząc że towarzystwo w niém zebrane, nie mogło sobie przedmiotu do zajmującej, ciągłej roznowy wyszukać. Na twarzach wszystkich przytomnych jednostajnymi rysy, wypisało się znużenie i oczekiwanie czegoś. Był to dzień czerwcowy, dość skwarny, godzina poobiednia — może oczekiwano deszczu?

Osoby dramatu następujące.

Naprzód — gospodarz domu, pan Pokotyło, pięknego brzucha mężczyzna, rumiany, trochę łysy, z bakenbardami w pół księżycy, w letnim surducie, z piórkiem w zębach. A piórko było paciorkami ubrane.

Synowiec gospodarza, pan Fabijan, wysoki, dobrzezbudowany chłopiec, z bródką zapuszczoną i włosami długimi, cygarem w ręku.

Trzecim był pan Hasling, sąsiad niedaleki, siwiejący już mężczyzna, w staroświeckiego

kroju fraku granatowym, chudy, wysoki, chmurnego wejrzenia.

Czwartym pan Teodor Doliwa, i ten z bródką ryżą, wąsami błęd, bakembardami ciemnymi prawie, włosami barwy pośredniej, różnej od poprzedzających (co mogło być skutkiem fiksarnaru), z cygarem w ustach.

Piątym i ostatnim, malutki człowieczek fertyczny i ruchawy, pan Kulikowicz (jeszcze sąsiad), brudny, niepozornie ubrany, z czupryną czarną do góry, oczyma czarnymi na wierzchu, noszący buty na ogromnych korkach, mocno wykrzywione.

Dom w którym się znajdowali ci panowie, był staroświeckim szlacheckim dworkiem, ocienionym lipami ogródka, odsłoniętym od strony dziedzińca. Obok niego stały ściśnięte zabudowania gospodarskie wszelkiego rodzaju. Z za gałęzi topoli balsamicznych, wystawał tam dach stodoly, ówdzie ściana spaczona chlówku, dalej bielony niegdyś bok oficyny, to znów czarne żebra szpichlerza z gankiem na słupkach

i długim rzędem kuf próżnych, korzystających z pory i używających świeżego powietrza.

Po dziedzińcu przechadzały się bez ceremonii, poważnie, swobodnie, znając się na swoim miejscu, pośród pioletu, bylicy, łopuchu i ostów, napuszone swą ważnością, indyki z licznym potomstwem, gęsi z córeczkami w żółto-brudnych sukienkach, gadatliwe kumoszki kury, i swiergoczące nieustannie trzpiotowate polatywały po płotach wróble. Złowróźbne śmieciuchy, czubkami swemi zapowiadały długą snotę. Nieco dalej nad brzegiem cuchnącej, obrosłej i zielonemi skrzeki pokrytej kałuży, nazywającej się sadzawką, spacerował pozornie obojętny, ale nie bez złych myśli bocian w czerwonych butach, z bliskiego na olsze gniazda. Sroczka wrzeszczała na bzach za oficyną.

Dziedziniec wielce był ożywiony, jeśli nie ludźmi, to ptastwem; a koń ekonomiczny spętany przez ostrożność zawsze wielce chwalebny, zdawał się zajmować dozorem tej skrzydlatej

czeredy, do której zapomniałem dodać siwe gołębie, unoszące się po nad dachy słomianemi, porośłemi zielonym aksamitnym mchem, i gdzie nigdzie nawet trawą.

Nie wiem czy potrzebnie opisuję dworek tego rodzaju, tak one jeszcze niedawno pospolitemi były u nas, tak są jeszcze pamiętne wszystkim, ze swemi akceposjami zwykłeni, żywemi i nieżywemi. Ale któż wie, czy je wkrótce zobaczymy już, czy o nich posłyszym, cywilizacya idzie ku nam tak szybko! a co gorzej poczyną zawsze wprzód działać na domy i suknie, niż na ludzi. Trzeba więc opisywać, i dworki i słomki i co tylko nieco przeszłością pachnie, bo wkrótce tego wszystkiego nie stanie. Są to zabytki starożytności.

Zaraz za dziedziniec poczyniała się wioska w jedną, łan w drugą stronę. Na lewo czerwieniał krzyż, na prawo żółciła droga ku laskowi brzozowemu, i tam dalej.

W tył za dom, był ogródek, ale ani angielski, ani francuzki, ani chiński; po prostu szla-

checka zagroda. Srodkiem ulice agrestowe, porzeczkowe, malinowe, jabłonie, stare grusze i śliwy; w bok dalej trochę — grzędy truskawek zarosłe, a za niemi *utile dulci* przymieszane: kapusta, groch cukrowy, ogórki, marchew, koper, selery i slicznie na wysokich tyczkach prezentująca się fasola. Pod starą gruszą altanka z chmielu, w altance ławka z darniny, ścieżki nigdy nie czyszczone, sadzawka tatarakiem od zielonych świąt nietykanym zarosła, lamusik stary. Do koła, żeby broń Boże oczu w okolicy niepuścić. Płot otarnowany, wysoki, porządný, szczelny, za nim rów, a w dodatku poplątana wirginija. Pomimo takiego obwarowania, uważne oko badacza, mogło dojrzeć wyłamanych gdzie niegdzie krzaków, zdeptanej trawy, powykręcanych gałęzi, nieco pouchyłanych płotów i widocznych śladów nkradkowego przejścia. Jedna tego rodzaju ścieżynka wiodła ze wsi, po zakazany owoc do rajn pana Pokoty; druga od zabudowań gospodarskich przemyka-

ła się ku karczmie, skracając drogi przyjaciom starozakonnego Szmula.

Taki był dworek *cum allinentiis* pana Pokotyły, starego kawalera, i niegdyś wojskowego, dziś dziedzica jednej trzeciej części wioski i gospodarza.

Pan Pokotyło żył zadowolniony wiejskim trybem życia, nieznajdując żeby w niém warto było coś dodać, lub od niego co ująć, przyjmował je jako *fakt spełniony* (rzecz najwygodniejsza) i zastosował do niego.

Życie też jego, ani się bardzo frasowało jutrem, ani rozmyślało o wczorajszém, płynęło jak płyną wody, nie widząc kędy i po co, przyjmując w siebie i deszcz i liście wierzb nadbrzeżnych i żaby i szczupaki, i co tam zwykle w rzekaach bywa. *E semper bene.*

Skarżyć się — skarżył prawda i pan Pokotyło, bo któż się nie skarży? ale nie myślał nigdy wszakże, na to co mu dolegało radzić — nie pojmował nawet, żeby nawet żeby to było można i żeby próba na co się przydać miała.

Rano wstawszy, herbatę wypiwszy, nieco się przyodziawszy, (buty nie co dzień wdziewał szuwaksowane, uważając ich, zgodnie z Jankiem sługą, za zbytek szalony) — wychodził na łan trochę, trochę do stodoły, albo do ekonoma. Potém jadł śniadanie złożone z wódki starój, chleba i wędliny lub marynaty; wczesny obiadek bardzo prosty, uwarzony z elementów nie wytwornych, z dodatkiem butelki piwa, lub kieliszka wina (jeśli gość się trafił). Wino jedyne jakie znał p. Pokotyło, było owe tak zwane francuzkie, które Litwie na wicinach przychodzi, garncami się sprzedaje i butelkuje w domu. Jeśli nikogo nie było, po obiedzie zasypiał, i spał do czwartej, czasem dłużej, jeśli słotna pora fizycznie i moralnie do snu skłaniała. Wieczorem przechadzał się około gospodarstwa, lub jechał w sąsiedztwo; jeszcze później, kładł kabałę, chodził z fajką po pokoju, studował nad kalendarzem, gawędził z ekonomem u drzwi z założonemi rękoma at-

tentującym — nareszcie usypiał. Tu zasłona spada.

Życie to miało za sobą wielką prostotę części składowych. Co się tam działo w duszy jego, nikt nie wie, nawet ekonom, któremu zwykł się najserdeczniej wynurzać, objaśnić o tém dokładnie nie był w stanie, tém bardziej niżej podpisany.

To co do pierwszego.

Synowiec gospodarza, mieszkaniec tejże wioski, który przy stariej matce gospodarką, na drugiej części się zajmował, żył także bez wielkiego na życie wysilenia. Matka pocziwa, prostoduszna staruszka, modliła się, rozdawała i odbierała przędzę, motki i płótna, jeździła koczobrykiem starym do kościoła, układała chętnie kabałę i karmiła dwa pieski. Pan Fabijan wyszedłszy z piątój klasy, (gdyż szóstą uznał on i matka za zupełnie zbyteczną) zapuścił brodę, zaczął palić cygaro, polować z chartami i uganiać się za dziewczętami. Zapomniałem objawić, że grał na skrzypcach, i gitarze,

(wielki talent) służącego wynuczył grać na klawirze, i improwizował muzyczkę na wieczorach sąsiedzkich. Był więc bardzo pożądanym gościem. Mieszkali we dworze daleko większym i okazańszym od poprzednio opisanego, na starój sadybie, która się zwała zameczyskiem, opasanój wałami zielonemi, zarostój dębami, ustrojonej w stare popodpierane budowle. Naprzeciw niej ciemna cerkiew ze swemi gankami, obwodzającą ją do koła, wysuwała się z pomiędzy klonów i lip, z błyszczącym nowym krzyżem na czole i świeżo pomalowanym jaskrawo dachem. Dalej biegła wioska ku dolinie z pochyłemi chaty i błotnistą ulicą.

Pan Hasling, sąsiad Pokotyły, mieszkał w drugiej wiosce, dawniej żonaty, dziś wdowiec o kilkorgu dzieci, zakłopotany przyszłością, frasowny, zabiegły, zgryźliwy, kłótniwy, i po większej części smutny (chorował na wątrobę). Lubił poncez passyjami, miał trzy córki dorosłe na wydaniu, co tłómaczy jego przyjaźń dla Pokotyłów. Panny to były białe, rumiane

wesołe, i w perkalikach chodzące. Wszystkie trzy grały na gitarze, pisały jak kury, czytały pracowicie zbierając rozpierchłe głoski; ale doskonale znały się na różnicy przędzy, na osiemnastkę, i dwudziestkę używaną, na nabiałe i pieczywie ciast wielkanocnych. Śpiewały dumki ukraińskie, nie bez wdzięku. Dwóch braci powiększało familią, wielce przyjemnie. Oba byli zawołani myśliwi, mieli każdy nejtyczankę; trzy konie nie maściste, często się zmieniające, a niekiedy nosate i po jednym osełedczonym kozaczku, po dwa charty, po jednej strzelbie, i po ogromnym nosie. Ojciec, synowie, córki, żyli; nie można powiedzieć bardzo zgodnie i przykładowie; ale ożywiając sobie monotonią wiejskiego pożycia i żwawymi częstokroć sprzeczkami, które interesu dodawały, do wydziedziczonego z silnych wzruszeń żywota. Spory między rodziną nigdy nie przechodziły granic przyzwoitej kłótni rodzinnej i kończyły się szczęściem na języku. Zresztą

bywały i chwile ciszy i zgody i serdeczności nawet.

Pan Teodor Doliwa, item sąsiad, a nawet z tejże saméj wsi, co panowie Pokotyły; ów młodzieniec o różnobarwnych włosach, któremu przyrodzenie z szczególnego affektu nadało próbki wszelkiego włosiwa, jakie miało tylko w rękawie, ubierając mu głowę ze szczególném staraniem — Teodor Doliwa z ojcem i matką, siedział na największej części wioski. Dwór Doliwów był wpół murowany, biały; miał z przodu intencją czystego dziedzińca; z tyłu jakby ochotę angielskiego ogródka; wewnątrz wszystko było w tym sposobie. Znajdowały się tam intencye mebli, woskowanej podłogi, obrazów, oclota fortepianu, imaginacya liberii, cień Dangłowskiego nowo przerobionego koczka, fantazma kucharza i żywe najprawdziwsze pragnienie pewnej wyższości i dobrego tonu.

Jedynak pan Teodor Doliwa, ostateczne wychowanie odebrał w Warszawie, gdzie szkoły ukończył, zkąd miał buty i kamizelki, fraki

i żelazko do włosów, upodobanie w piwie owsianém, o którym bez uniesienia wspomnieć nie mógł, i w francuzkich romansach, które podszarżane kupował.

Uważany był w sąsiedztwie za człowieka uczonego i wielkiego świata, lękano się go w domach, gdzie były panny na wydaniu, jakby przewąchiwano w nim Don Juana. Ojciec i matka uśmiejchali się, poglądając na tę lato-rośl pełną nadziei, starożytnego szczepu. Pan Teodor mógł i powinien się być ożenić, wedle nich, z panną krociową, co zostawało zawsze wielce do życzenia, choćby dla tego tylko, iż część Pokotyłowszczyzny, należąca do Doliwów, obciążona była długami. Długi rozwijają w ludziach działalność, rodzą dowcip, usposabiają do wielkich pomysłów; nie są wszakże dobrém na którym by się powszechnie poznać i ocenić je umiano. Doliwowie stękali na swoje długi.

Przypisywali je kosztownemu wychowaniu jedynaczka wielkich nadziei — ale nie żałowa-

li tego, i pan Teodor paplał po francuzku znośnie, tańcował kontradanse francuzkie, ubierał się z gustem (mówili ojciec i matka) wreszcie grał na fortepianie walce Straussa i Lannera, które uważały się w sąsiedztwie za *non plus ultra* sztuki i punkt kulminujący muzykalnych utworów wieku. Chopin uchodził tu za niepojętego bałamuta, bez talentu i śpiewności!!!!

Ostatni gość u Pokotyły ów małeńki człowieczek — pan Kulikowicz, mieszkał w drugiej wsi, całej własnej, ale miał także część, trzy chaty podobno, i karezemkę w Pokotyłowszczyźnie. Był nieżonaty, fajkę palił od rana do nocy, gospodarował wściekle, niezważając na poddanych wcale, zbierał grosz zapamiętane, dusił namiętnie, o nic więcej nie dbał, z ludzi żartował; cudze wino bardzo lubił, swojego nigdy nie pokazywał, poił starką, którą i do herbaty dodawano. pod pozorem, że daleko jest lepsza od fałszowanego rumu.

Szczególne i wielce różne zdania, krążyły o tym człowieku. Ile razy która z panien có-

rek Hasslinga, zaręczała ojca i braci, że się o nią stara, ile razy do której z licznych dzie-
wie sąsiedztwa zdawał się zbliżyć z projektem,
i tylekroć w domu wybranym, wynoszono go
pod obłoki i gniewano się przeciw ludziom, co
niegodziwe plotki roznosić zwykli. Jak tylko
przestał bywać, zobojętniał, prawiono dziwne
rzeczy o nim i powtarzano o uciemieniu sro-
giem poddanych, o nieprzykładném zyciu, i t. p.
Dworek p. Kulikowicza w osobnej wsi zbudowa-
wany, z jednéj strony zaczął się być murować,
z drugiejj był drewniany. Stał tak oddawna
otoczony gruzem i rusztowaniem, naprzeciw
ogromna gorzelnia z wysoką pompą obudowa-
ną, wołownia długa, owczarnie, ohacone so-
śniną obory. Wewnątrz domu najmniejszego
starania o wygodę jakiegokolwiek życia, o wdzięk.
Gołe ściany, stół złamany, kilka krzeseł, sofa
brudna, kufer zielony, trochę tytoniu na stole,
fuzya w koncie, drzwi zaparte do spiżareńki.
Życie Kulikowicza, było pracowite i czynne;

pędzone w gorzelni, na polu, w lesie, około robotnika po jarmarkach.

Z takich pierwiastków składało się to wszystko w które wchodzimy; parny dzień czerwcowy, czy niedocieczone przyczyny, ołowianém brzemieniem nudy, ucisnęły wszystkich. Wykrzykniki tylko.

— Gorąco! gorąco! proszę ognia do fajki!

— O tak! tak! z rzadka słyszeć się dawały.

Wejrzenia tylko, uśmiechy, ruszanie ramionami, sapanie, ożywiały nieco rozmowę.

W tém skromne wprowadzie, ale wyraźne klaśnięcie z bata, przerwało nudy, i wszyscy jednomyślnie, rzucili się do okna, krom gospodarza, który został w miejscu i ozwał się obojętnie.

— Owce pędzą!

— Ależ turkocze! rzekł Fabijan —

— Może siano wiozą, ktoby u licha jechał.

— Jedzie bo, jedzie, dali — bóg jedzie, skomlał p. Hasling — ot i widać.

— Mimo bramy droga — dodał gospodarz.

— W bramę jedzie! śmiejąc się rzekł trochę przez nos Warszawianin, Teodor Doliwa, którego niedowiarstwo pana Pokotyły bawiło.

— To ekonom z pola! niewzruszony odparł gospodarz.

— Djabie ci się gościa niechce, ale próżno się wykrecaś, wrzasnął na całą gębę Kulikowicz — wprost przed ganek.

— To nie gość, to proboszez! mruknął gospodarz.

Wszyscy parsknęli. On w duchu dodał,

— Któż by mógł jeszcze nadjechać! wszakżeście tu wszyscy.

— Nejtyczanka, cztery konie —

— Powiedz szkapy —

— Furman —

— Chłop siako tako przyodziany —

— Chomąty —

— Stare —

— Ale któż taki!

— O! alboż nie znacie — Graf!

— Jaki u djabła graf — zrywając się, zawołał Pokotyło — Nowy śmiech.

— Nie bój się, nie ze Sliwina przecie!

— Ale cóż za graf?

— Seweryn Kotlina — szepnął Hasling, ani chybi — on. — Ale co go tu prowadził!

Wszyscy odstąpili od okna z różnemi minami, i posiadali obojętnie, czekając wejścia gościa, gospodarz rzekł tylko —

— Skaranie boże, na taki npał, taka nudna facyata!

— Kwaśno go przyjm, to sobie pojedzie, doradził Kulikowicz —

— A już ciż! Jeszczem go nigdy inaczéj nie przyjął.

My korzystając z czasu, narysujmy jednym pociągiem nowego przybyleca.

Seweryn Kotlina, jedynak u matki, która przed rokiem go odumarta, miał lat dwadzieścia kilka. Ojciec jego niegdy majątny; przez procesa i obywatelskie posługi, stracił wczesnie majątek; matka resztą majątności wycho-

wała ukochane dziecię. — Oboje byli ludźmi dobrego towarzystwa, szlachetnych uczuć i dawniej wielkich związków. Ale z upadkiem na mieniu, upadły kruche stosunki, opuścili ich ludzie. Nadto dumni by się im kłaniać i o co bądź prosić ich mieli, zrujnowani, usunęli się, zamknęli, i poświęcili dziecięciu. Historya jego wychowania, była jednym z najpiękniejszych przykładów poświęcenia rodzicielskiego. Ojciec nauczył się czego nie umiał, aby dać dziecku początki; matka stała się metrem Sewerka. I wychowując głowę, nie zapomnieli o sercu.

Pieszczone dziecię, nie wypieściło się na nieżnośne, dumne, grymaśne i swawolne stworzenie. Wiedzione miłością, naprzód nauczyło się kochać świat cały, ludzi wszystkich; znosić cierpliwie, cieszyć się powolnie i ostrożnie i poświęcać chętnie, radośnie dla drugich. Ojciec i matka dali mu pierwszy miłości i poświęcenia przykład.

Potém nie ntyskiwali nigdy przed nim na utratę majątności, na mierność, na czekające ich w starości ubóstwo; nie uczyli go cenić grosza nadewszystko, i święcić mu sumienie, poczciwość; nabyciu jego spokój i szczęście, utrzymaniu godność swą i przekonania. Uczucia szlachetne, najpierwsze wzrosły, zabujały na sercu młodzieńczém. A to, co pierwsze zejdzie na téj roli, zagłuszy wszystko. Jeśli chwast, chwasty na nim rosnać będą tylko; jeśli czyste ziarno, ono dojrzeje na żniwo.

Seweryn stracił ojca, ale nie pamięć na jego nauki — stracił matkę później — i nie zmienił się. Czcil ich pamięć, płakał na ich wspomnienia, i modlił się za ich duszę — Nieraz w życiu zdało mu się, że duchy anielskie, czulego ojca, świętej matki, wiodły go po twardszych po skalistszych ścieżkach życia. To mu додаowało odwagi. — Wychowanie Sewerka skończyło się jak poczęło — w kraju.

Szczęśliwi zapewne ci, co mogą widzieć coś więcej, pójść dalej; ale tylko wychowanie

w kraju, daje krajowi ludzi użytecznych, prawdziwe jego dzieci. Z za granicy wracają nam pospolicie niedowarzone półgłówki, których pierwszą cechą — pogarda wszystkiego co nasze. Mamy i tak nieszczęsną skłonność małpowania zagranicy, chwytania się *nowinek*, jak je nazywał ks. Skarga, cóż dopiero, gdy tę skłonność wrodzoną podeprze się choć powierzchnie wyższą umiejętnością, polorem, eliwyconemi wiadomości encyklopedycznemi? Naówczas wracają nam osiemnastoletni znużeni sobą i światem młodzieńcy, w towarzystwach dumni, szyderezy, nielitościwi, i niezdolni. Starcy bez wąsów, co w kraju wytrwać nie mogą, co w towarzystwach naszych nie dla siebie nie widzą i stają się bezużytecznymi kłocami w praktycznym życiu.

Nasz Seweryn, nabył nauki choć za nią nie jeździł daleko, bo nauka wszędzie się nabywa, gdzie są dwa wielkie jój czynniki — ochota i książki. Ukształcił głowę, wychował serce, które już rodzice dobrym kierunkiem puścili.

Skromny, jak każdy co prawdziwie zna ludzi i człowieka, i wie, że nie ma mizernego, najmizerniejszego, co by od niego w czémś jedném, wyższym i więcej wartym nie był; skromny jak każdy, co nie na jednej suchej nauce zasadza ceuę ludzi; wyrozmiały, szlachetny, w potrzebie odważny, wstrzemięźliwy w słowach, niewyrywający się z przyjaźnią, ale dla przyjaciela gotów na wszystko — nie mógł się podobać w sąsiedztwie, i nie podobał się.

Po śmierci matki, wziął majątek dawniej ich dziedziczny, dzierżawą od nowego nabywcy.

A że nie miał żadnego nałogu, żadnej śmiešności swych sąsiadów, że zimną zręcznością tylko za ciekawą i niespokojną ich grzeczność płacił, że nie grał, że nie pił, że książki czytał, że się przyzwoicie dość ubierał, że lepsze towarzystwo lubił, i o ile możliwości uczęszczał do domów, w których go jeszcze z dawną dla ojca życzliwością witano; przewano go grafem i poczęto wyśmiewać powszechnie.

Młodzież, która go zrozumieć nie mogła, patrzyła nań okiem niespokojnej, zazdrośnej ciekawości. Panny, że się w żadnej dotąd zakochać nie mógł, szydziły z jego szlachetnej postawy i pełnej umiarkowania rozmowy. Starzy, których oczy kłuło porównanie Seweryna z własnymi dziećmi i krewnymi, kwaśno o nim mówili. Słowem, zrobił sobie od razu tylu nieprzyjaciół, że się obrócić nie mógł, żeby nie uczuć jak go sądzą i kochają. Wszakże te oznaki nieprzyjaźni, miarkowały się wielce i ubierały rozmaicie, wiedziano bowiem, że Seweryn uchybić sobie nie pozwoli, że był prawdziwie odważnym, i nie dawał z siebie żartować.

Całe towarzystwo zebrane w Pokotyłowszczyźnie, składało się z najzaciętszych może nieprzyjaciół Seweryna. Począwszy od gospodarza, który sam nie wiedział dla czego nie lubił Seweryna; wszyscy przytomni cierpieć go nie mogli. Zobaczywszy jego ciemną nej-

tyczankę, usiedli na swoich miejscach, powykrzywiani; każdy coś mruczał przez zęby.

W tém wszedł Seweryn. Był to słusznego wzrostu, młody, piękny mężczyzna, silnej budowy, kształtnej postawy, czarnych żywych oczu, ciemnego włosa, bladój nieco twarzy. Ubrany nie wykwintnie, ale smakownie i starannie.

P. Pokotyło wstał witając go niewyraźnem mruczeniem, i podsunął mu krzesło, inni skłonili się od niechcenia, zmierzyli go od stóp do głów z pewnym rodzajem wzgardy, poruszyli nieznacznie ramiony, i zaczęli szeptać między sobą.

Towarzystwo rozpadło się na dwoje. Gospodarz został nos w nos z gościem, a reszta w drugim oddziale.

Rozmowa nrywana, ciężka zrywała się jak drop' do lotu, i opadała co chwila. Za to szepty i śmiechy tajemnicze, wrzały w drugim końcu pokoju. Z wejrzeń ukradkowych i sza-

lonych wesołości wybuchów, domyśleć się było łatwo, o kim tam była mowa.

Seweryn przecie nie tracił bynajmniej powagi i odwagi, nie zważał na oddzielające się dobrowolnie towarzystwo, i starał kwaśnego rozruszać Pokotyłę. Powoli, jeden, drugi zbliżył się ku nim. Naprzód pan Teodor Doliwa, którego w sąsiedztwie zwano paniczem; ciągnięty sympatją do dobrze skrojonego surduta Seweryna, odstał od opozycyi, i usiadł przy stoliku. Kilka słów ziewaniem przeplatanych, wrzucił jako zadatek do rozmowy. Inni poczęli się ciekawić i powoli, zbliżyli. Rozmowa zaczęła się ożywiać i obiecywała w końcu, stać powszechną, gdy gwar powstał na dziedzińcu jakiś.

— Pewnie znowu trzodę z Krasnej góry zajęli w szkodzie, zawołał gospodarz lecąc do okna

— Albo może ludzie nasi — dodał Doliwa, poczuli się.

— Albo jaka sprawa — rzekł pan Fabijan.

Dwóch ludzi nieznajomych biegli ku domku.

— Cóż za licho! to coś osobliwego! trzęsąc głową, sam do siebie wybąknął gospodarz. Ekstraordynaryjny wypadek. Ludzie w liberyi.

Wszyscy wybiegli w ganek.

— Czyi ludzie, spytał Fabijan.

— Grafa ze Sliwina —

— Czego chcecie?

— Nasz pan —

— No i cóż — cóż wasz pan —

— Konie go ponosiły. wywróciły, potłukły, prosi —

— A! dali — honor! zawołał Hasling, — otóż miłego będziesz miał gościa —

Pokotyło osłupiał.

— Otoż go niosą tutaj, rzekł jeden z ludzi —

— Choć siadłszy płacz! machając ręką rzekł gospodarz. A co ja z nim będę robił?

Goście się śmieli.

Tymczasem na zaimprovizowanych noszach,

zbliżał się jęczący, stłuczony, zbłocony pan ze Sliwina.

Dwóch ludzi ze wsi złapanych w ulicy, i kozak hrabiego, z trudem go dźwigali na ramionach.

Zbliżając się do ganku, podniósł głowę siwiejącą, z krótko ostrzyżonemi włosami, szaremi oczki, policzki blademi i zawołał.

— Ach kochany panie Pokotyło!

— Większa poufałość niż znajomość szepnął bundlucząc się Fabijan synowiec.

— Kochany panie Pokotyło, zmiluj się ratuj mnie, daj gdzie kątek, póki powóz drugi nie nadejdzie. Nogę mam zda mi się złamaną, ani stąpić.

Pokotyło klaniał się, mruczał, marszczył i wskazywał na drzwi niby zapraszając, ale nie zbyt raźnie.

Hrabia poznał się na tém, podniósł na łokciu z ciężkością i obracając do swego służącego.

— Pan masz gości, rzekł, mogę mu zawa-

dzać, możeby gdzie w chacie, albo w drugim jakim dworku kątek jaki

Postrzegł się Pokotyło, że zbyt wiloecznie był niegrzecznym, odezwał się więc z zaprosinami.

— Gdziekolwiek kątek, kochany sąsiedzie, odparł hrabia, wszystko mi jedno, byłem moich koni doczekał, posłałem już do Sliwina — długo zawadzać nie będę.

Słudzy wniesli potłuczonego do pokoju na prawo, gospodarz wszedł za nim, goście zostali rozpytujać nadbiegłych świadków o wypadku.

Hrabia Hubert, nie darmo to imie noszący, bo i order świętego myśliwca w kolébce miał już, i sam zawołanym był Nemrodem; bezżenny, podżyły już kawaler — był jednym z tych ludzi, którzy klasyfikacyom towarzyskim fałsz zadają. Chociaż z imienia pan, z majątności pan, nie lubiony był wszakże od swoich, nie wiem dla czego; nie lubiony także od szlachty.

O oboje zdawał się nie dbać wiele. Wychowanie bardzo niegruntowne, bardzo powierzchowne odebrawszy, w ośmnastu leciech pan swój woli; nie starał się o nic więcej, i wycierpiawszy za życia ojca niesłychanie skąpego, męki tantala; — puścił się używać. Konie, łowy, łatwe miłostki, zajęły mu życia resztę. Towarzystwa nie lubił, krom poufałego, męzkiego; z kobietami lepszego wychowania nudził się i ziewał. A że nie go nie zmuszało do poświęceń, czynił, rozporządzał sobą jak mu się podobало. Sam być nie umiał, z sobie równymi nie znajdował przyjemności, oddzielała ich wielka wychowania różnica; szlachta nieco dumniejsza, nie uczęszczała do niego, bo z góry ją traktował, wyśmiewał niclitościwie i mistyfikował co chwila.

Hrabia Hubert pomimo zaniedbanej młodości, pomimo rodzaju życia jaki prowadził, nie potrafił zagłuszyć, w sobie zniszczyć przyrodzonych darów.

Dowcipny, przebiegły, czego nie umiał, do-

myślał się; o czém nie wiedział, przeczuwał; gdyby cokolwiek chciał popracować nad sobą i mniej kochał próżnowanie, sybarytyzm, mógł by być bardzo przyzwoitym człowiekiem. Ale nałóg używania, zaślaniał mu uczucie potrzeby nanki i pracy. — Tém więc był, czém go uczyniła natura, która można powiedzieć, usposobiła go na daleko znakomitszego człowieka, niżeli nim stał się. Wszakże zachował jeszcze mimo zaniedbania się, wielką wyższość umysłową. Uczucie swój wartości robiło go sztyderskim, powiedzieliśmy, że potrzebował towarzystwa, ale takiego, z którym by wcale nie był obowiązany, przymuszać i zwyciężać. Jednym słowem, Hrabia Hubert *dworu* i *dworzan* nie towarzystwa chciał z ludzi. O sto lub dwieście lat wprzód, byłby się otoczył klientami i błaznami, teraz musiał się uciec do darmożjadów.

Żyć sam na sam z sobą, było mu nieznośnem, gotów był jak ów bohater podania, wychodzić na trakt i wabić gości, ale zawsze z warunkiem

żeby oni stosowali się do niego i służyli mu za marjijonетки bez woli i władzy własnej. Otaczał się więc Hubert takowemi ludziskami, którzy w koło niego dworowali i błaznowali. Ksiądz kwestarz, stroiciel fortepianów wędrowny, pijaczysko jakie, zawsze miesiącami, czasem latami całemi bawili w pałacu. On ich poił, karmił, szydził z nich, figle im płatał, mistyfikował, śmiał się i znudziwszy nareszcie, kolaniem w tył wyprawiał.

Dwa było rodzaje bawicieli tych u Hrabiego. Jedni dziedziczni jak ich nazywał, oswojeni z nim, wszystko znoszący, i już do śmierci przysięgli, trzymali się klamki pokornie —

Drudzy, wędrowni, przybysze czasowi, siadywali z końmi, ludźmi, niekiedy bardzo długo, ale w końcu po tragicznej jakiejś awanturze, może umyślnie na wykurzenie ich z legowiska wymyśloniej, znikali. Po niejakiem czasie jawili się znowu. Poznamy bliżej dwór Hrabiego później; teraz wróćmy do dworku p. Pokotyły.

DALSZY CIĄG TOPOGRAFII.

THE HISTORY OF THE

DALESZY CIĄG TOPOGRAFII.

Pan Seweryn nie chcąc bez pożegnania, aby go bardziej jeszcze zapamiętali *grafem* i *nowomodnym kawalerem* nie okrzyczano, pozostał w bawialnym pokoju z całym towarzystwem, które na niego mileząc rzuciło dziwne wejrzenia.

Dusząc czapkę w rękę, szukał zajęcia, przedmiotu, którym by choć udanie mógł się zatru-

dnąć, aby belek w suficie nie liczyć; ale napróżno. Pokój bawialny w Pokotyłowskim dworze nie miał ani książki, ani nawet ryciny na ścianie, nie prócz kanapy, krzeseł, pękniętego stolika, i kilku cybuchów po kątach. Ścisłe biorąc, można się było zająć rozpatrzeniem sino malowanych kafel pieca; ale Seweryn nie chciał już tak wyraźnie okazać i swego opuszczenia i wzgardy towarzystwu. Kręcił się więc po pokoju frasowny i niespokojny.

Nareszcie zlitował się nad nim pan Teodor Doliwa.

— Co pan tam w polu robi? spytał.

— To zapewne co wszyscy teraz — hreczkę ostatnią posiałem, siano koszę.

— Już też się i dėszyć poczną na nasze siana.

— Pan zna hrabiego? dorzucił Fabijan Pokotyło.

— Znam go z widzenia, rzekł Seweryn — a! prawda — i ze sprawy jaką z nim miałem.

— Pan miałeś z nim sprawę? podechwyciło kilku.

— Dzieciństwo! odpowiedział Seweryn — sąsiedzki spór, który się przerodził w sprawę przez upór Hrabiego.

— Zły człowiek — dorzucił Kulikowicz — i zawsze mu w głowie, że to jeszcze czasy kiedy panowie dawali szlachcie do wyboru, albo kłaniać się za kawałek pieczeni, albo procesować i dać nękać —

— Nie tak zły, jak trochę uparty i dumny, a bardzo zepsuty próżnowaniem, rzekł Seweryn, więcej go żałuję niż gniewam się na niego. Oddać mu potrzeba sprawiedliwość, że uczciwy i gdy się przekona że zszedł z prawej drogi, wraca na nią, choć cichaczem.

— Toć, zapewne, przynajmniej szlacheckich sumek nie zachrapia, i nie każe się o nie procesować —

— Bardzo skaleczony? spytał Seweryn, nie rad dłużej z tak drażliwym pasować się przedmiotem.

— Kat go wie, rzekł Hasling — panowie wytrzymalsi są niż się zdaje — musi to być mała rzecz, a tylko się pieści, bo ani jęczał, ani —

— Mała rzecz! zawołał ze śmiechem Doliwa — noga złamana! A tu ani doktora, ani cyrulika do jutra nie przywiozą!

— Złamana! zawołał Seweryn —

— Tak mi ludzie mówili —

— W istocie, jeżeli do jutra czekać będzie musiał na opatrzenie, to ucierpi wiele —

— A niech cierpi! rzekł Kulikowicz — przynajmniej zwierzyny nam przez ten czas wytłukać nie będzie.

— Czy może być, żeby ani cyrulika, ani doktora —

— Toć to panu wiadomo, muskając włosy dodał Doliwa, w naszym zakącie, na wszystkim zbywa. —

Seweryn ruszył ramionami, jakby się zgadzał i wyszedł.

Szybko pobiegł do izby, w której na łóżku spoczywał bolejący Hubert.

Gdy wszedł, właśnie się trzymając za nogę, Hrabia narzekał i skarżył przed milczącym i zadumanym gospodarzem.

— Konie prawda młode, ale jeżdżone! dwa razy były w zaprzęgu. Mój Tomko wozi jak królewski woźnica — Djabeł nadał trzodę — coś im tam wplątało się pod nogi. I jak się nie poniosą! Ho! panie! prawda że mnie to drogo kosztuje, alem w życiu tak szybko, wyśmieniście nie jechał.

To mówiąc spojrzał Hrabia zyzem na wchodzącego Seweryna. Znali się oni, ale skutkiem nieporozumień, byli gorzej niż na zimno; udawali że są sobie obcy. Zdziwił się tedy potężnie Hubert, gdy Seweryn go skinieniem głowy przywitawszy, rzekł żywo.

— W takich razach panie Hrabio — takich przypadkach — zapomina się na chwilę o wzajemnych urazach — Potém je można znowu przypomnieć, jeśli się podoba. Chodziłem na

medycynę; jestem jeśli nie doktor, to przynajmniej felczer jakikolwiek. Ponieważ nie ma komu nogi opatrzyć, i aż jutro chyba, znajdzie się p. Freze lub Moszko, proszę przyjąć moją posługę. —

Seweryn mówił, a Hrabia oczy wytrzeszczał, czerwienił się, dziwił; nareszcie uśmiechnął, wyciągnął rękę i rzekł udając wesołość, co go nigdy nie opuszczała.

— A! zlituj że się! a nie chcesz pan czasem powetować swojej szkody na mojej nodze?

Potém dodał.

— Mamże wierzyć propozycyi? — Chciałżebyś?

— Pozwalasz Hrabio! masz li ufność?

— Zupełną! słyszałem o cudach twych kuracyi — ale, prawdziwie — zawstydzasz mnie — to kawałek heroizmu!

— Nie szafujmy tak panie Hrabio, wielkimi słowy, zdadzą się one na większe czyny; a to proste spełnienie obowiązku. Co byś powiedział

o człowieku, któryby bliźniemu swemu mógł skrócić cierpienia a nie chciał? cóż dopiero gdyby nie chciał przez zemstę!

Hrabia patrzył na Seweryna z podziwieniem, ze czcią prawie, ale daleko większymi oczyma poglądał na niego pan Pokotyło, któremu się to w głowie pomieścić nie mogło, aby szlachcic syn obywatelski chciał cyrulikować; aby jeszcze tę funkcją tak wedle niego upokarzającą, spełniał dla — nieprzyjaciela.

Gdy Seweryn poprosił wody, bandażów i wszystkiego czego było potrzeba, gospodarz coś mruknął i wyszedł.

Wyszedł zdyszany, spocony wprost do gości.

— A wiecie co się dzieje, rzekł na progu.

— Cóż Hrabisko może *dochodzi*? rzekł Kulikowicz —

— Niech Bóg broni, w moim domu! miałbym śledztwo, kłopot! Niegodzi się nawet żartem.

— Niech Bóg broni.

— A cóż tam?

— Co! ot pan Seweryn, jak zawsze oryginał—

— Poszedł się z nim kłócić?

— Żebyż! to by było mniej dziwne —

— A cóż u licha —

— A co! otoż sztuka, że i djabeł nie zgadnie! Rękawy zakasał i zajął się opatrywaniem, po prostu jak cyrulik.

Tu śmiech ogromny wyrwał się ze wszystkich kątów pokoju, śmiech niedowiarstwa i szyderstwa —

— Kpij z nas zdrów! krzyknął Kulikowicz. Myśląc że Pokotyło żartuje.

— Ale jak mi Bóg miły prawda —

— Oszalał czy co!

— Wszakże byli z sobą, i są na udry —

— A to panie prosto pochlebstwo — dorzucił Hasling, chce się panu zasłużyć, i łapę mu liże.

— Gorzej bo nogę! dowcipnie rzekł Doliwa. Nowy śmiech na chwilę rozmowę zagłuszył.

— Seryo? prawda? spytał Kulikowicz —

— Jak mamę kocham! zaklął się Pokotyło, jak ciocię kocham —

— Niech że mnie lichy porwie, jeśli rozumiem co to znaczy! rzekł Doliwa — To po-
dłość!

— A w innych razach taki dumny! kiwając
głową dorzucił Kulikowicz.

— Niech panowie pamiętają, głośno wyrwał
się pan Fabijan, że on i chłopom i żydom nogi
nastawia, jak gdzie się zdarzy. To taka manija,
— zwyczajnie oryginał.

— Oryginał nie oryginał, a dali honor,
wrzucił p. Hasling, to nie bez kalkulacyi na ten
raz.

— Waćpan to zaraz panie Regiencie, mię-
szasz do wszystkiego kalkulacyą —

— A co ja winien, że kalkulacya do wszyst-
kiego się mięsza!

Znowu się śmiano.

— A mnie bięda, bo muszę szukać szarpij,
bandażów, kat wie tam czego — rzekł Poko-
tyło — a to Jasnemu panu trzeba cienkiego
żeby nóżki nie tarło. Szlachciec będzie musiał
dać najlepszą bieliznę. Ot korzyść. Trzeba szu-

kać a dać nie żałując, bo potem ośmieją, że już u mnie w domu i gałgana pocziwego nie ma. Klucznicy! zawołał sięgając do głębokiej kieszeni po klucze i dobierając się do starój komody.

Towarzystwo rozstało się ciekawie na stronę, a w tém przez drzwi boczne, owijając się chustką ogromną, w czepcu ze wstążkami przedpotopowemi; weszła pani Krzepicka, klucznica, lat około czterdziestu licząca.

— A wiesz waćpani co nam za kłopot pan Bóg dał; rzekł zwracając się od zamka komody, do którego klucza dobierał Pokotyło.

Klucznica znać było z miny, jedna z tych niewiast złego humoru, które żyją gdyraniem i dąsami, jak inni ludzie weselem i ochotą; a przytém w łaskach u pana, nieszpetyna jeszcze niewiasta, pokręciła głową i odpowiedziała odważnie, nie frasując się licznymi słuchaczami.

— A wiem ci! wiem! Graf jakiś — ludzie karki kręcą, dmuchają w samowar i poduszki u mnie

pożyczyli. Cały dom do góry nogami — i dwie szklanki czeskie stłuczone.

— Co wasani mówisz? przerwał gospodarz,
— dwie szklanki?

— Rysowane!

— A!! jak mi honor miły, dziesięć bizunów dam Iwańkowi! już to mu płazem nie pójdzie!

— I sprawiedliwie! poparła klucznica.

— A tu w dodatku, potrzebują szarpij i bandażów. Uważaj że no asani — Dać lada gałgan, powiedzą że w domu dobrego nie ma — co dobrego, to szkoda!

— E! niechajby sobie gadali co chcą — a ja bym im dała serwetę, w którą ręce obcierają od dwóch lat po rakach — dziura na dziurze —

— Zapewne! potwierdzająco rzekł Fabijan, wielce starający się zawsze okazać dowcipnym w oczach klucznicy, nie wiem z jakich powodów.

— A bardzoż brudna? spytał gospodarz.

— Już to czysta nie jest! wyznała pani Krzepicka, ale na bandaż —

— Wstyd mi będzie — znajdziemy czystą, to mówiąc wzniosł przeciw okna ogromną niegdyś cienką, dworską serwetę, świecącą dziurami.

— Szkoda! rzekł Kulikowicz.

— Szkoda! poparli chórem klucznica i p. Fabijan; p. Teodor śmiał się szydersko zapalając cygaro.

Hasling tylko z ukosa rzucił okiem.

Po serwecie nastąpił obrusek, koszula dawniej holenderska, jeszcze wojskowa, i kilka sztuk bielizny, ale wszystkiego było szkoda.

Tym czasem służący wbiegł żądając szarpij i bandaży.

Z gniewem odwrócił się ku niemu gospodarz i splunął.

— Patrzajcie, rzekł, dysponują sobie jak u siebie! Ten paniczek Seweryn myśli, że się gotów jestem jak on rozplatać na dwoje, dla tego że to graf!

— Dać serwetę! dokończył zniecierpliwiony.

— Szkoda panie!

— Szkoda, nie szkoda — niechaj znają! powtórzył. Serweta była w kawałkach.

Poniesiono ją, ale po chwili wszedł służący, domagając się więcej.

Tu już cierpliwości zabrakło i panu i klucznicy, chórem z panem Fabijanem poczęli lament. — Poszła koszula, i komoda zamknęła się termetycznie.

Kulikowicz chodził po pokoju powtarzając. — A jabym mu dał stary maglownik i kwita!

— I nie wstydzik byś się?

— Cha! cha! alboż on się czego wstydzi, wyrwał się Hasling.

Kulikowicz wziął to za żart, i sam się rozśmiał dumnie.

— Cóż tam z tą nogą? spytano służącego który wchodził.

— Aby tylko więcej bielizny niepotrzebowali, rzekł w sobie gospodarz.

— Noga tylko zwichnięta była i już nastawiona.

— Tęgi feler! dali honor! po co mamy za
Tom I. Mil. pos.

Moszkciem posyłać, dać mu dwa złote, niechaj opatruje.

— Ale wodą zimną okładają — potrzebowali lodu!

— Żeby była lodownia! oni myślą, że to u mnie zajezdna gospoda, wszystkiego potrzebują — mrucał niecierpliwy Pokotyło.

— I pan ten co opatruje, prosi jeszcze bielizny — dodał sługa.

Nie potrafię opisać jaką na to minę zrobił gospodarz, usta mu się wykrzywiły, oczy wytrzeszczyły, czoło pofałdowało —

— Bielizny! Cóż to sklep — czy co! A to mi go lichu nadało.

— Prześcieradło, mówi pan Seweryn było by najlepsze —

— A tak, niechże posle po swoje.

Nie będziemy opisywać scen tego dramatu, dość próbki. Hrabia z owiniętą dosyć i nastawioną nogą, w karecie poczwórnej, wyjechał ku wieczorowi noga za nogą wlokąc się do Sliwina; ale Seweryn unikając i poszlakowań

i żartów, jeszcze wprzód umknął. P.P. Hasling i Kulikowicz pośpieszyli roznosić po sąsiedztwie historią tego zdarzenia. Pokotyło dwa dni wracał do wywróconego porządku i napróżno oczekiwał na odesłanie swojej bielizny.

Przepadła.

Seweryn wyszedłszy z pokoju Hrabiego pokryjomu, wziął za czapkę, krótko pożegnał gospodarza, wskoczył na nejtyczankę, i kazał pośpieszać.

Miało się ku wieczorowi, słońce zachodziło za gęstą, siną ławę chmur, w których błyskało i grzmiało. Co chwila podnosiła się ona, szerząc zajmując na horyzoncie i wystrzępieniami brzegi zachodząc na sklepienie niebios. Cisza była jak zwykle przed burzą. Seweryn na nic nie zważał, i razu się nawet nie obejrzał na to co go otaczało, cały był w myślach swoich.

W tém woźnica na dwu rozchodzących się drogach, zwrócił ku niemu i spytał.

— Do domu? czy do Górowa?

Zawahał się pan, ale konie same ruszyły do Górowa — kiwnął głową na znak zgody i szpaczki puściły się szparkim kłusem.

Chmura coraz szybciej zasuwała się na horyzont, jednostajnie sina aż do ziemi, na którą jak długa spadała zasłona, w górze poszarpana; w pośrodku kilką ledwie znacznemi białemi obłoczki napiętnowana była. Na tle ciemném to rozległy błysk, to struga światła wązka i ostra ukazywała się i nikła. Zdawało się słychać było szum w chmurze i chwilami zrywał się piaskiem miotający wiatr, który tumany pyłu daleko unosił po gościńcu.

Seweryn uciekając żwawo przed burzą, dojeżdżał do Górowa. Ukazała się wioska długim sznurem ciemnych chatek na żółtym rozsypana piasku, rzekł-byś rozsypane paciorki — Wioska to litewska; nie jedna z tych co na zielonój smudze, wygodnie leży, ocieniona brzoza i świerkami, okryta od północy pięknym laskiem olszowym, ale smutna osada prawie po-

leska—Szerokie błoto, w wielkiem oddaleniu opasane bajr-kowatym lasem sosnowym z dwóch stron ją otaczało. Długa niegodziwa grobla parła się przez nie w głąb lasów. Na zielono brudném błocie, powiewającym ogromnemi trawy, wznosiły się jak strażnice. stogi, i stare stożyska z sterczącemi żerdziami i palami. — Sama wieś usiadła w piasku, chaty jeszcze się czarniejsze wydawały na tém jasném tle. Kilka chorych wiérzb i biednych brzoż, powiewały nad dwoma czy trzema chatkami. W pośrodku wznosił się na drodze krzyż czerwony wyniosły, nieopodal od niego drugi z kamieni wielkich ustawiony, rodzaj *dolmenu*, uświęconego żelaznym na wierzchu przytwierdzonym znakiem zbawienia. Stara brzoza płakała nad kamieniem. Długa czarna karczma na boku z drobnoszybowemi okny, otoczona w téj chwili trzodą bydła, stała opuszczona i mileżąca. Nad szeroką ulicą piaszczystą, gdzie niegdzie kamieniami krąglami wyłożoną; czerniały chatki niskie, ubogie, dranicami kryte; niebielone. Tuż

za niemi całe zabudowanie gospodarskie posuwało się ku ogrodowi, na nieco lepszej ziemi wygrodzonym, z wysoko usypanymi zagony. Nazwanie Górowa musiało pochodzić od niewielkiej wyniosłości po nad błotem, na której wioska i dwa dworki się mieściły.

Chociaż wieś nad dwadzieścia kilka chat nie liczyła. były w niej przecie dwie karczëmki i dwa dworki. Rozstały się te dwie budowy, na dwa boki osady i stały przeciw sobie jak do boju.

Dwór jeden osadzony topolami, gęstym otoczony ogrodem, białł trojącem kominów, w ciemnej świrków i olch zieleni. Drugi oparkaniony szczelnie, osadzony świeżo jeszcze niedającymi cienia drzewkami, nowy, mały, chudy, z lamusikiem obok i loszkiem na przeciw okien, zwiastował świeżo osiedlonego. Drogi wiodące do dwóch dworów, jedna oparkaniona żerdziami, druga wysadzona starymi drzewy, zdawały się stojąc przeciw sobie, przeciwieć i drażnić.

Do mniejszego i nowszego dworku należała część wsi większa; stary widocznie chylił się do upadku, gdy drugi szedł do wzrostu. Z jednej strony pruchniały drzewa, gdy z tamtęj rosły dopiero.

Wysadzaną ulicą jechał Seweryn; jechał i oglądał się smutnie. Wszystko co oko uderzało, zwiastowało nieład, opustoszenie, prawie nędzę. Odarte płoty, połamane, dziurawe mosty, wybita głęboko i nienaprawiona grobla, rozgrodzony dziedziniec staremi lipy obrosły, nadgniły dach domu, wybite jego okna, ścisnęły za serce. — Tém przykrzejsze musiało być wrażenie widokiem tym sprawione, że z pod ruiny przezieriała jeszcze stara zamożność i starość, nie dawny jeszcze może być dobry. Zabudowania były zdrowe jeszcze, z dobrego materiału; i z pewną wykwintnością nawet wiejską wystawione. Sérnik, owa litewskich zagród ozdoba, oryginalna budowa prawdziwie litewska, wznosił się jeszcze z blaszannymi rynwami, ze kształtnymi w górnym piętrze



okienkami, z wycinanemi w niby gotyckie strzałki arkadami.

Dzieliniec krągło zarysowany, porządnym dawniej otoczony płotem, teraz już powywalanym, zarosły był, i pusty — Ganek dworu dawno nie bielony — okna poklejone papierem.

Żywěj duszy koło domu.

Gdy bryczka Seweryna, zatrzymała się u ganku, nikt nie wyszedł, tylko głowa jakaś, mignęła z za drzwi i znikła. Wielka sień pusta rozrzyniła dom na dwoje, i przechodziła na przestrzał.

Na lewo i prawo, po dwoje drzwi się ukazywały, ale z nich jedne zabite były w poprzek tarcicami, a inne pokłute szerokimi szpary. Stary jakiś zabyty wianek dożynkowy, smutny sam jeden, siedział na kołku —

Seweryn otworzył drzwi dawniej olejno malowane w lewo — i stanął w obszerным pokoju trójgiem okien wychodzącym na dziedziniec. Tu też same ślady opuszczenia i ubóstwa, jeszcze widoczniesze przy obszerności miesz-

kania — Stary bejcowany stół, kilka różnokształtnych krzeseł, i stary piec kaflowy zielony; były całym sprzętem. Posadzka niegdyś starannie położona, powyginana, dziurawa, skrzypiąca, ale czysta. Jedynym znakiem życia, był wielki bukiet kwiatów na stole stojący. Trzy portrety zakopcone, wyobrażające trzech mężczyzn w pasowych kontuszach i sobolich kołpakach, wisały rzędem na ścianie przeciw okien. Drzwi otwarte w głąb domu, puszczały wzrok do drugiego ciśniejszego pokoju, z którego wchodzącemu dał się słyszeć głos męzki.

— Kto tam?

— Seweryn do usług pana Krajczego.

— A! to wy kochany panie Sewerynie — chodź że chodź! proszę bardzo!

— Nie przeszkodzę?

— W czémże byś mi mógł przeszkodzić?

Drugi pokój, do którego pośpieszył Seweryn, trochę był więcej zamieszkały. W alko-
wie jego, rozeznąć było można, choć pod szarym mrokiem, łóżeczko wązkie z krucyfiksem

nad głowy i szablą, na wytartéj makacie pod jedném oknem, stół z wykręcanemi nogami, na którym leżała gruba księga założona okularami, dalej dwa krzesła białe, z których się starła poślota, kanapka takąż i wielka skrzynia niezamknięta. — Obrazek najświętszój panny Żyrowickiėj, krzywo wisiał na ścianie.

Na jedném z krzeseł siedział słusznego wzrostu, siwy i łysy mężczyzna, trochę zgarbiouy wiekiem. Ogromny spuścisty wąs, bieleł mu nad wargą wierzchnią, broda i część głowy ogolona była. Na nim kapota czarna z cienkiego sukna, ale wytarta do nitki, buty juchtowe na nogach — Rysami twarzy człowiek ten przypominał wielce wiszące w piérwszój izbie portrety. Te same przeciągłe, kształtne rysy, ta sama oczu siwych oprawa, uśmiech ust wązkich i śpiczastość brody.

Seweryn z uszanowaniem ścisnął go za rękę i pocałował w ramię, stary dotknął głowy jego ustami, i chwycił krzesło, które mu wskazał.

— No siadaj, kochany panie Sewerynie, do-

brze żeś do nas dojechał — co tam słychać!
 Gdyby nie ty, jużbym o bożym świecie nie
 wiedział; ludzie mnie opuścili razem z fortuną.
 — *Spes in Deo*. Cóż robić! zkąd powracasz?

— Od Pokotyłów —

— A! z Pokotyłowszczyzny? A cóżeś tam
 robił, bo nie uwłaczając nikomu, nie bardzo to
 serdeczni ludzie! Tyś ubogi jak i ja, to Wa-
 szeci pewnie jak mnie, nie bardzo lubić muszą?

— Właśnie że mnie nie lubią, muszę o nich
 pamiętać, i nie dając powodu do urazy, odwie-
 dzić czasem.

— Słusznie. panie Sewerynie — *Spes in Deo*
 wszakże i diabłu świeczka nie zawadzi.

— Trafiłem na wielkie jakieś zgromadzenie
 sąsiadów.

— No! konferencya?

— Zdaje się że przypadkowi goście — Has-
 ling.

— Pluder Mościpanie, choć naturalizowany,
 ale we krwi znać szwaba.

— Kulikowicz.

— I to miły ptaszek — dorzucił stary.

— P. Teodor Doliwa.

— Warszawianin —

— Pan Fabijan —

— Muzykant. —

— W końcu zjawił się nam najniespodziewańszy gość, Ilrabia Hubert, który nogę zwichnął, ponoszony od koni, pode dworem Pokotyły. Nastawiłem mu ją —

— Poczekaj no, poczekaj — Rozpowiedz jak to było? Nogę skreślił?

Seweryn rozpowiedział wypadek; stary głową kiwał.

— Przestroga Boża, wkrótce może i karku nadłamię, jeśli się nie poprawi. Dobrze mu tak! Sodoma i Gomora w domu — czas by się z siwiejącym włosem upamiętać.

Gdy tych słów domawiał, z trzaskiem od silnego wiatru zamykające się drzwi sieni, wstrząśnione okna domu i szum nagły drzew, zwiastowały właśnie nadechodzącą burzę. Błysnęło i piorun uderzył. W pierwszej izbie za-

szeleściła kobieca sukienka, kroki słyszeć się dały szybkie.

Seweryn wstał — Panna Marjanna —
— Dobry wieczór.

I dziwnéj piękności, młode dziewczę ukazało się w ramach drzwi.

To zjawisko miało może lat szesnaście, kształtnéj postawy, kruczego włosa, czarnych wielkich oczu, rumianéj twarzyczki — ożywiło nagle te puste szerokie izby. Jak wam opisać wdzięk dziewczęcia, wyraz tych rysów przedziwnéj regularności, blask wejrzenia, białość lica, i uśmiech ust czarodziejski?

Biała perkalowa sukienka okrywała ją tylko, włosy uczesane gładko, wielkim węzłem war-kocza schodziły na białą szyję. W ręku trzy mała książeczkę.

— A! dawno nie widzianego! zawołała z uśmiechem, burza nam pana przyniosła!

Seweryn wstał i zbliżył się ku niej — kilka słów szepnęli z cicha. Stary zmierzył ich oczyma zgasłemi.

W tém drugi piorun spadł nie daleko, oni się rozstąpili, ale trzecia postać ukazała się za nimi. Była to ciotka Maryi, panna Scholastyka —

— Jak się masz panie Sewerynie! panie Jezusie co za burza, zawołała! Chmurę żegnałam! wprost na nas idzie! Chodźmy do Krajczego pokoju, tu nie tak widać błyskawice.

To mówiąc panna Scholastyka pierwsza wsunęła się do pokoju i usiadła w końcie na kanapie.

— A! mój dobrodzieju! cóż za burza okropna, powtórzyła.

Panna Scholastyka, mogła mieć lat około czterdziestu, wysoka, mężkiej postawy, rumiana, z wyrazem siły na twarzy; na pierwsze spojrzenie charakter nieugięty, otwarty, wcale nie kobiecy. Przyrodzenie, które nigdy nie kłamie, dało jój też wąż prawie mężki, głos donośny, pierś suchą, rękę do pałasza raczej niż do igły.

Marya przysiadła przy niej na kanapie, a Se-

weryn przysunął krzesło, i po cichu zaczął z nią rozmawiać.

— Co tam za tajemnice szepczecie? spytała po chwili ciotka — Mówcie głośno, cierpieć nie mogę szeptów. — Powiedz nam co słyhać, pannie Sewerynie, jesteśmy tak opuszczone, że nie wiemy nawet co się w koło nas dzieje. A to doprawdy smutno — Niech by się żyło choć cudzém życiem. Kiedy swoim nie można.

— Jak to! panno Scholastyko kochana, spytał stary, alboż swoim nie żyjesz!

— A słiczneż mi to życie, mój Krajczy? Nikt u nas, my u nikogo nie bywamy, niedostatek w domu — nudy nieznośne, to się śmierci równa —

— *Spes in Deo*, moja dobrodziejka — Niegodzi się skarżyć —

— Ja też się nie skarżę, tak tylko mówię, trzeba przecie mówić o czémś, bo zapomniemy wkrótce i gadać.

Marya uśmiechnęła się —

— Moja ciociu, dziś cię burza tak w zły humor wprowadziła.

— A co mi tam burza!

— Proszę tego nie mówić — przerwał Krajczy — niewyzywajmy —

— Masz pan rację — Burza burzą — a nuda nudą — przywiozłeś nam jakieś książek panie Sewerynie?

Seweryn spuścił głowę —

— Nie mam żadnych — odparł —

— A to kłeska! Gotowam z desperacyi pójść piechoto do Kulikowicza dla konwersacyi —

— Sliczną byś miała waćpanna rozrywkę — dodał stary —

— Zwłaszcza że nas tak kocha!! zawołała p. Scholastyka.

— A w dodatku Kulikowicza nie ma pewnie w domu — bom go zostawił u Pokotyłów.

— On też tu rzadko mieszka, we dworku który ma w Górowie, częściej w swojej wiosce. —

— A! wiecie państwo co, jakby to było sli-

cznie, żeby się ze mną ożenił — dodała wesoło panna Scholastyka — Zaraz bym Krajczego długi popłaciła, wyposażyła Maryą. —

— A naprzód, powiedz waćpanna, należałoby okulbaczyć męża co nie łatwo.

Marya rozśmiała się, Ciotka także.

— Ale nie prawdaż, mój Krajczy, że to byłoby wyśmienie?

— Nie zaprzeczam! Trafiłaby kosa na kamień.

— Co się tycze wdzięków, tyli mi nie odmówisz spodziewam się, grzeczny panie Sewerynie — spytała Scholastyka — majątku nie mam, ale go Kulikowicz nie potrzebuje — Cóż więc na przeszkodzie!

— Nic wcale.

— Moglibyśmy trochę odetchnąć, i pan Krajczy, miał by swoją kawę z rana, której się wyrzeka pod pozorem zdrowia — i Maryja coś lepszego niż białą sukienkę perkalową —

— Ale ja ciociu, innéj nie żądam.

— Tak to się mówi, ale się nie wszystko

mówi co myśli — I czego się rumienić. Nie-naturalnaż to, żebyś sobie życzyła lepiej ubrać, choć by tylko dla tego, żeby się nie widzieć w kościele wytykaną palcami —

— O! moja ciociu — żywo zaprzeczyła Maryja rumieniać się — niegrzeczności mnie nie obchodzą, znoszę je z uśmiechem.

— *Spes in Deo*, moja Marysiu — rzekł stary — to są chwilowe nieprzyjemności, ale wszystko to da się usunąć —

— Kiedy kochany Krajezy? spytała Scholastyka.

— *Lente*, z czasem?

— Wiele już lat czekamy na to?

— Wiesz waćpanna co! — pan Bóg Bogiem, a siedem dni świat stwarzał — *Paulatim summa petuntur*.

— Ale kiedyż ta *summa* się nam dostanie? zawołała Scholastyka.

— Waćpanna bo jesteś w gorącej wodzie kąpana.

— W ukropie, we wrzątku, kochany Krajczy — nie zaprzeczani —

Otóż to i bięda, a człowiekowi ze wszystkich cnót najpotrzebniejsza cierpliwość.

— Sliczna cnota, którą zdaleka admiruję — schylając głowę rzekła Scholastyka.

— Warto by się do niej zbliżyć?

— Nie mogę — nie mogę! wielka szkoda!

— Wielka szkoda!

— Gdy ta alterkacya Krajczego z panną Scholastyką trwa, Seweryn korzysta z czasu, i kilka słów powiedział Maryi po cichu. Ona cała zapłoniona, podniosła oczy na ciotkę.

— Cóż ci to tak na twarz wystąpił rumieniec?

— Zagrzmiało!

— Jak w porę te grzmoty! Maryniu!

I ciotka się uśmiechnęła.

— Patrzaj no Krajczy — rzekła — na tę parę turkawek.

— Jaką?

— A — masz ją przed sobą!

— *Spes in Deo.*

Seweryn zmieszany. rumienił się także cały.

— Powiedz że im kochany Krajczy, że są tak ubodzy oboje, iż by się, rozumnie rzeczy wzięwszy, kochać nie powinni? Te tak otwarcie wyrzeczone słowa, może raz pierwszy rozkrywające na jaw tajemnicę dwojga młodych, odepchnęły ich od siebie i niesłuchanie pomieślały.

— Ciocin! zawołała Maryja —

Seweryn wstał niewiedząc co począć z sobą.

— Krajczy machnął ręką. —

— Patrzajcie jacy skłopotani, poczerwieni! panie Boże, powiedziałyby kto, żem największy fałsz wyrzekła! A to dziwna pretensya!

W oczy mi biją swojém gołębiém gruchaniem i chcą żebym nie nie widziała, albo widząc udawała, że nie widzę.

Seweryn tłómaczyć się nie mógł i nie chciał, Maryja chowała twarz w rękę, Krajczy gładził brodę.

Panna Scholastyka pomiarkowała że niepo-

trzebnie zmieszala młodzież, i po swojemu odwróciła rozmowę.

— No panie Sewerynie, kiedyś nie przywiózł książek, mów że nam co o Pokotyłach tylko tak, jak to czasem umiesz pod dobry humor opowiadać. Bez żółci—wesoło.

Już Seweryn usta otwierał, gdy Maryja siedząca tak, że drzwi pierwszego pokoju widziała, odezwała się.

— Kulikowicz!

Stary zczerwienił się, i usta zacisnął, a panna ciotka, szepnęła —

— Idę powitać narzeczonego!



W GÓROWIE.



W GÓROWIE.

Nie wiem czy potrzebuje przypominać czytelnikom moim, kto był i jak wyglądał pan Kulikowicz. Opisaliśmy go na początku pierwszego rozdziału téj powieści.

Kiedy mała naczupurzona figurka jego, z czarnym czubem do góry nastrzępionym, czarnemi oczkami na wierzchu, w dość niepoczesnym surduciku, w butach na wysokich kor-

kach, kamizelce *Cabrera* i czarnej zwiniętej w sznurek chusteczce, ukazała się w drzwiach pierwszego pokoju; — Maryja pobladła i zmieszła się, Krajczy zecerwieniał i zaciął usta, panna Scholastyka tylko nie straciła przytomności.

Seweryn brał za czapkę, i mimo lejący deszcz chciał się oddalić, przewidując scenę jakąś, bo wiedział, że Kulikowicz nie miał przyjaznych z domem tym stosunków, Maryja dała mu ledwie postrzeżony znak, żeby pozostał.

Już w pierwszym pokoju, postawa, ruch, wzgardliwe rzucane wejrzenia do koła, przepowiadały z czém nadjechał pan sąsiad. Mina jego, wykrzywione usta, czapka pod bok ręką zaciśnięta, ręka w kieszeni, zmrużone z intencją oczki, zdawały się oznajmywać, że przybył wcale nie po przyjacielsku. Szedł właśnie jak do boju, powolnie, stukając korkami o wypsuta posadzkę, zapowiadając się hałasem.

— Ale jakże szumno wchodzi mój narzeczonny! zawołała Scholastyka.

Krajczy nie wstawał z krzesła, czerwienił się i kaszłał.

Nareszcie w progu ukazał się Kulikowicz i głową pogardliwie skinął, nie wyjmując ręki z kieszeni.

— A co tam panie słyhać? rzekł szydersko.

Krajczy zacisnął pięści, spuścił głowę i mruknął — Daj Boże cierpliwość — tym czasem stara panna zerwała się z kanapy, i witając pokłonem równie szyderskim Kulikowicza, podsunęła mu pogardliwie krzesło, z odpowiedzią —

— Słyhać że pan Kulikowicz, ma być wkrótce grzecznym i potulnym, ale my najlepiej wiemy, że to są bajki. —

— Doprawdy? skrzywionemi usty odparł przybyły, i ujrzawszy Seweryna siedzącego przy Maryi, nieznacznie wyjął rękę z kieszeni; zmieszał się, odchrząknął. Potém jakby się powstydził tych oznak niejakięj grzeczności, uwagi, nadał się podwójnie, i zawołał rozpierając w krzesło.

— A u nas słyhać! że pana Krajczego z téj

chudoby wypędzimy, i ostatni stary kontusz
z plec mu zedrzymy —

— To wszystko być może — rzekł stary
pokornie.

Seweryn zerwał się z miejsca.

— Pozwolisz pan sobie powiedzieć, rzekł, że
wszystko co prawo dozwala uczynić, zrobić
możesz, ale urągać się starości, ale we wła-
snym domu najgrawać się z ubóstwa, które
każdego spotkać może — żaden uczciwy i do-
brze wychowany człowiek nie będzie.

Kto inny, byłby wyzwał, Kulikowicz odparł
tylko:

— A czemu mi przysądzonej sumki nie od-
dają.

Krajczy przerwał — Proszę o cierpliwość.—

— Ale ja nie jestem obowiązany mieć cier-
pliwość. —

— Zapewne, zawołała Scholastyka — a
więc rób pan co mu prawo wskazuje, i uwolń
nas od swoich odwiedzin przynajmniej.

— Tak mi pani śpiewa?

— Zdaje mi się wyraźnie?

— I nie więcej?

— Prócz że pana bardzo szacujemy, póki jesteś z daleka i nie uszczęśliwiasz nas swemi odwiedzinami.

— Owszem, prosiemy go zawsze po staropolsku, rzekł Krajczy, domu przed nikim nie zamykamy, ale trochę delikatności.

— Delikatność mocipanie chleba nie daje, rzekł Kulikowicz.

— Ale daje coś więcej, szacunek, poważanie, życzliwość ludzi.

— Pluję ja na to wszystko!

Twarz p. Kulikowicza nabierała z rozmową coraz dzikszego charakteru.

Seweryn wrzał, Maryja słabła, Scholastyka uśmiechała się dumnie, Krajczy siedział ze spuszczoną głową siwą, mruczając.

— Karz mnie panie, za grzechy moje, albowiem zasłużyłem — Policzki starca rumieniły się wzruszeniem gorączkowym.

— Dajcie wieszczę — rzekł przerywając, sąsiad zje z nami.

— Kat mi po waszój wieczerzy, lepiej byście dali mi pieniądze. A co będzie panie Krajczy?

— *Spes in Deo*; proszę o cierpliwość —

— A zawsze ta cierpliwość! zawołał Kulikowicz.

— Najpiérwsza z cnót chrześciańskich.

— Nie spotkałem się z nią w życiu.

Panna Scholastyka przypomniawszy sobie nie dawną rozmowę z Krajczym, rozśmiała się i wyszła. Wkrótce potém dość czysto ubrana dziewczyna, poczęła w piérwszym pokoju nakrywać do wieczerzy.

— A moja propozyycja? rzekł przybyły po chwili. —

— Niepodobieństwo — stłumionym głosem odparł Krajczy. Scholastyka wróciła i stała we drzwiach.

— Co się tycze Maryi, przerwała — niepo-

dobieństwo, ale jeśli się panu zda, ja mogę mu moją rękę ofiarować!

Wielkie oczy wytrzeszczył Kulikowicz, potem się skrzywił i głową kiwnął.

— A zatem wywłaszczenie — a zatem i to ostatnie chat kilka —

— Sprzedasz pan z publicznego targu, rzekł Krajezy. Cóż robić!

Maryja bladła, Seweryn nie mógł się utrzymać na miejscu.

— He panie Sewerynie, zwracając się z zapytaniem do niego, rzekł Kulikowicz — widzisz pan na co się zanoszą?

— Widzę, ale z tego nic nie będzie — odpowiedział zimno Kotlica.

— A to ?...

— A to dla tego, że ja panu płacę za Krajczego —

— Pan! cha! cha! Zkądże te dostatki? A czy będziesz potem miał czém za dzierżawę zapłacić?

— Wszak to pana obchodzić nie powinno.

— Żal mi go.

- Nicch mnie Bóg uchwowa od jego żalu!
- Pan wiesz wiele mam u Krajezego —
- Piętnaście tysięcy.
- Koszta procesu.....
- Być może — na uowy rok panu płacę.
- Ja do nowego roku czekać nie mogę —
- A gdybyś pan musiał!
- Radbym wiedział kto mnie przymusi?
- Licytowałeś pan kiedy majątek? spytał zimno Seweryn.

Tu z rozpoczynającą się rozmową dwóch przybyłych, wszyscy umilkli, Krajezy podniósł głowę i słuchał uważnie.

— Choćby i nie, ale wiem manipulacją .

— Prosiemy o nią

Kulikowicz zabelkotał — Ja się tu niepotrzebuję tłumaczyć —

— Więc ja panu powiem, że jeśli zechcemy rok i dwa poczekasz pan na licytacją — P. Krajezy nie broni, prosiemy o nią.

— Kto ich tam wie! jaki teraz w tém wszyst-

kiém obrządek? mruczał stary, dawniej sprawa obligowa — rzecz była najprostsza.

— Do nowego roku pan nic zrobić nie jesteś w stanie — a w tym czasie ja mu płacę.

— A jeśli ja nie zechcę?

— I ja nie zechcę, dodał Krajczy —

— Przepraszam, pan na to zezwolisz, ja nabywam prawo p. Kulikowicza do części Górowa —

Stary spojrzął, potrząsł głową i nic nie odpowiedział.

— Tylko że ja nie zbywam tego prawa —

— Pan je zbędziesz —

— A kto mnie do tego przymusi?

Seweryn grzecznie podszedł ku niemu wziął (nie bez oporu) pod rękę, i przechadzając się po pierwszym pokoju, po cichu coś mu powiedział.

Na pierwsze wyrzeczone słowa, Kulikowicz zmieszał się bardzo, wyrwał rękę, zabelkotał, i stracił zupełnie zwycięzką minę. Weszli po chwili nazad, ale role były bardzo zmienione,

Seweryn się uśmiechał; nasz napastnik był widocznie zmieszany. Krajezy podwajał grzeczności. O interesie mowy już nie było wcale. Dószcz lał jak z wiadra. Maryja poglądała ukradkiem na Seweryna. Rozmowa stała się przyzwoitą i obojętną; Kulikowicz opisywał wypadek Hrabiego.

Tym czasem w pierwszym pokoju nakrywano do wieczerzy. To nakrycie, lepiej jeszcze niż mieszkanie i stan dworu, malowało w jakich interesach był pan Krajezy. Stolik przyniesiony, zasłany grubym, szarawym, ale bardzo czystym obruskiem; zastawiony został talerzami fajansowymi, na których wiérzchu kilka starych saskich porcelanowych, jakby na pamiątkę dawnego splendoru stanęły.

Z dwóch karafek jedna była rżnięta kryształowa, druga prosta szklanna zielona. Jeden tylko sztuciec Krajezego był srebrny. Dziewczyna posługiwała.

— Prosimy na wieczerzę! odezwała się panna Scholastyka, widząc że poniesiono zrazy

i kaszę, które ustawione wśród stołu, całe składały jedzenie. Wszyscy się ruszyli, Krajczy prosił naprzód Kulikowicza, który będąc najbliższym progu, wtoczył się nieukontentowany. Na twarzy jego malowało się to smutne uczucie, jakie niespodziewane poniżenie wyciska; wszedłszy zwycięzko, wychodził pokonany, milczący.

Starzec tym czasem, jakby niedokładnie zdawał sobie sprawę, co się w koło niego działo, zasiadł w cichości do stołu, pomodliwszy się — Panna Scholastyka uśmiechając, Maryja smutna.

— Wybaczenie panowie za kolację, odezwała się stara panna — Czém bogaci tém radziła to przysłowie wyśmienicie się do nas stosuje, bo nie wiele więcej znajdzie się w domu.

— *Spes in Deo* — rzekł Krajczy — Jakoś — i tego będzie. Scholastyka ruszyła ramionami, Kulikowicz nabrał pełen talerz i zjadał.

Odbieźmy na chwilę od nich i zwróćmy się w przeszłość jednej z tych osób — Maryi.

Maryja była synowicą starca, siostrzenicą panny Scholastyki. Wypadki dziwne strąciły ją do domu, wśród ludzi, z którymi mimo blizkiego pokrewieństwa życie nie było jej przeznaczeniem.

Brat Krajczego, za młodu oddalił się i osiadł w stolicy. — Najprzód paź ostatniego króla, potem urzędnik dworu, zrobił wielki majątek niewiedzieć jakim sposobem. Od chwili ożenienia z wysokiego urodzenia panną, dziedziczką znacznych bardzo włości, z którą prawie nie żył, szczęście w najbardziej czarodziejski sposób służyć mu zaczęło. Mianowany urzędnikiem dworu królewskiego, obdarzony starostwami, orderami, wzniósł się nagle. Charakteru słabego, powolny, dający sobą łatwo ludziom kierować; ożenił się był niezważając na to, co mu proroковано. Poczciwe imię jego użyte zostało za pokrywkę, on sam utytułowany dla żony. Majętności nabyte, zaledwie w części od niego zależały. Usuniony od żony, prawie jej obcy, musiał w towarzystwie sobie tylko właściwem szukać pociechy. Nie skarżył się i grając w try-

szaka i marjasza, zapijając przegraną winem węgierskiem umarł; właśnie gdy mu się urodziła córka.

Matka, kobieta wielkiego świata, ze zmieniającemi się okolicznościami, pozbawiona pomocy i opieki protektora, szybko straciła znaczne majątności.

Przecież do dwunastu lat Maryja wychowywała się, już przy niej, już w mieście pod okiem krewnych, familii najzacniejszej i najniegodziwiej postępowaniem matki splamionej; wychowanie więc Maryi było całkiem niestosowne z późniejszém jej przeznaczeniem; przywykła do większego świata, do wytwornych strojów, do zajęcia—tylko dla przyjemności własnej, nagle po stracie majątku, śmierci bliższych krewnych matki i jej samej, została bez opieki, bez mienia, zapartą, odtrąconą. Krajczy, naówczas jeszcze majątny, dopomniiał się o synowicę imie jego noszącą. Wysłano mu ją z Warszawy.

Ale nie samą; — z nią przybyła stryjeczna siostra matki, panna Scholastyka, która się do

sieroty była przywiązana, i nie bardzo wiedząc co z sobą począć, udała się z nią na prowincyą. Scholastyka w świetnym rodzie, z którego pochodziła matka Maryi, była zawsze plamką na słońcu: ubogą panną, nie ładną, nie zalecającą się niczem, której się pozbywano jak było można. Każda rodzina ma te plamki słoneczne, ale tylko prawdziwe słońca, chodzą otwarcie po niebie z plamami, nie troszcząc się o nie. — Największą klęską było, że Scholastyka nie będąc nigdy tak piękną, żeby na piękności twarzy budować miała przyszłość; w dodatku miała ubóstwo — rzecz niedarowaną.

Dla bogatych, nie ma cięższego towarzystwa nad ciągłą przytomność ubogiego krewnego. Jest to jakby nieustanny wyrzut, jakby ciągła wymówka, jakby nieprzerwana prośba. — Przy uboższych potrzeba się utrzymać ze swemi przyjemnościami, aby ich nie zazdrościli (bo mało kto dzielić się zechce), trzeba się zniżać, zapierać właśnie, gdy się najbardziej chce pochwalić. — Nieugięty, dumny charakter naszój

panny, położenia takiego przy bogatych krewnych, ciągle dla niej skrzywionych, kwaśnych znieść nie mógł, wyniosła się więc z Maryją na wieś. Ale Krajezy na którego dostatki rachowali, właśnie poczynął tracić, i to co na był, i to co odziedziczył po rodzicach.

Powolny, dojutrek, we wszelkiej sprawie odwołujący się raczej do cierpliwości i oczekiwania, niż do decydującej i rozstrzygającej woli — zaplątał się w interesa, długi, procesa, i nigdy nie bacząc jasno, na jakim stopniu ruiny stoi, pochylił się ku całkowitemu upadkowi. Ostatnie kilka chat w Górowie, Kulikowicz mógł sprzedać z licytacji.

Na takim stopniu były interesa starca — a Maryja nie miała już po nim nikogo w świecie, co by się losem jój mógł zająć.

Położenie biédnego dziewczęcia, było politowania godne. Urodzona i wychowana w dostatkach, w zbytku, wykołysana w pieluchach koronkowych, wyuczona wszystkiego co tylko życie umiła, ale nic co je zasila, nagle rzucona zosta-

ła na pustą wieś, potem z nie wykwinętniej, szlacheckiej zamożności, w niedostatek. Wychowanie naturalnie przerwane zostało. Miała jeszcze w prawdzie bardzo bogatych krewnych, ale ci niechętni dla pamięci matki, która podwójnie w ich oczach splamiła się, pozwalając się okrzyknąć metressą i wydać za mąż, za nieznanego imienia człowieka — udawali że o jej ekzystencyi nawet nie wiedzą.

Szczęściem, jakby Bóg chciał osłodzić przyszłość Maryi, dał jej dwa wielkie dary: łagodność anielską i wiarę głęboką. Tę wiarę wszczepiła jej za młodu, nie matka, bo ta żadnej nie miała; ale ta ciotka, którą poznaliśmy, kobieta dziwnego pozoru, a bogobojna w duszy i szlachetności pełna. Maryja więc znosiła z uśmiechem jak mówiła, co Bóg na nią zesłał, a nie myślcie by to mało było.

Ubóstwo łatwiejsze jest do zniesienia samo, niżeli się może zdaje; praca razem zajęciem jest i skraca życie, któremu przyjemności braknie.— Ale to co idzie za ubóstwem — ciężkie! Oto to-

warzystwo ludzi bez wychowania i często bez serca, a zawsze bez tych form, tych powierzchownych oznak, na które krzyczy — pod zły humor, ale bez których życie nieznośne. —

Ciężkie są nieraz tak zwane konwencyje towarzyskie, zwyczaje i t. d; ale gdzie ich nie ma, tam wielki tylko geniusz lub anielskie serce zastąpić je potrafią. Maryja więc musiała znosić nie ubóstwo, ale dziwne towarzystwo otaczających ją ludzi, towarzystwo, które za jedyną wyższość jaką kto ma nad niem mści się nie liłościwie. Maryja miała tyle wyższości! Wdzięk jój, wychowanie, imię matki, szlachetna powaga nigdy nie dopuszczająca poufałości — wszystko to wzbudzało niechęć, zazdrość, zemstę.

Nie opowiem, ile zmęczono biédne dziecię! Panna Scholastyka rozwinęła tu bohatérski talent swój do boju, na obronę sieroty — ale wszelka zaczepka, nim została odpartą, już raniła. Raz szeptano niegodziwe potwarze na ojca i matkę przy dziecięciu, to znowu w kościele ze wzgardą odpychano ją od ławki, to

omijano w towarzystwie, to ze zbytnią nachodzono poufałością.

W miarę jak Krajczy na majątku upadał, prześladowanie to stawało się zajadlejsze, bezwstydné, niegodziwe, bo bezbronną nachodzące. Cały dom zajęty niém został. Sąsiedzi jak Pokotyłowicze, Doliwowicze, Haslingi, Kulikowicz, albo bywali u Krajczego by z niego szydzić; albo nie przyjmowali go nawet u siebie.

Hrabia Hubert obaczywszy Maryję przejeżdżającą, nasłał na dom swego rezydenta, który po pijanem, proponował w obec jéj, tysiąc czerwonych złotych starcowi, za synowicę — Panna Scholastyka przytomna porwała pistolet wiszący nad łóżkiem, a starzec, w którym te niepoctywe słowa krew zburzyły, zdobył się na odlewany policzek. Hrabia Hubert gdy rezydent powrócił, dwa dni nie przestawał z niego szydzić nielitościwie.

— Waćpan jesteś niezgrabijasz, opój, i wcale do takiéj missii nie masz talentu.—

— A więc ja pojedę, rzekł drugi.

Hrabia Hubert, gdy był w dobrym humorze, puszczał się na najryzykowniejsze szale i nie czując że urąganie pocziwemu ubóstwu, jest najwyższą podłością: zezwolił śmiejąc się do rozpuku, na podróż drugiego.

Ale chciwy ten poseł, pomiarkował w drodze że złe mogą być skutki, wypadek; może go sumienie ruszyło — i wrócił z kłamliwą tylko powieścią; niebywszy u Krajczego.

Powieść ta wczesnie ułożona, pocieszna, ubarwiona, rozeszła się po sąsiedztwie. Wyobraźcież sobie, jak nową dawały niepocziwe te wieści zrzeczność sąsiadom, do prześladowania Maryi? Codzień mniej pokazać się mogła, a kiedy przyszło jechać w niedzielę lub święto do kościoła, musiano wybierać się na mszę raną, aby na wschodkach wiodących do kruchty, z nikim nie spotkać. Młode Haslingi, P. Doliwa, Kulikowicz, Pokotyło Fabijan, cała ta wesolutka młodzież, czatowała na ukazanie się starca, pan-ny Scholastyki i Maryi, aby zaczepiwszy ich

dogryźć im boleśnie. Osobliwsza cierpliwość i łagodność, przechodząca już z wiekiem w niedołęztwo w panuu Krajczym; nieumiarkowana odwaga panny, zarówno wzmagaly i jątrzyły niewczesne żarty. Stary witał swych prześladowców zawsze grzecznie i na bolesném szyderstwie nigdy się nie umiał czy niechciał poznać, powtarzając cicho.

— *Spes in Deo*. Cierpliwości!

Ciocia znowu, tak często boleśnie zadrasnęła miłość własną przeciw sąsiadów, taki śmiech w nich samych z nich samych wzbudzić potrafiła, i scierpieć nie nie umiała bez odwetu krwawego; nieraz czekano drugiej niedzieli, święta-okazyi, aby wymyślonym długo figlem, za raz ciężki, odpłacić.

W takiem to położeniu były trzy osoby, któreśmy czytelnikom naszym poznać dali. Wszędzie gdzie są ludzie, są nieprzyjaźni otwarte i skryte nienawiści, ale rzadko gdzie trafić się może, by cały dom nieszczęśliwy, a niczém na

wzgardę, prześladowanie i nieszczęście nie zasługujący, tyle cierpiał od wszystkich.

Seweryn wrócił z Wilna, właśnie w porze gdy niewczesne żarty pana Hrabiego, pierwszy niepokój i łzy gorzkie pod ten dach zanosły. Był świadkiem jednej z tych scen rozdzierających, strasznych, odegranych przed kościołem, bez uszanowania dla miejsca, bez względu na płeć i wiek.

Z początku stał w niemém osłupieniu, potem uniosł się gniewem i oburzył. Dowiedziawszy się kto był Krajczy, Maryja i Scholastyka, łzy mu popłynęły z oczu i uczuł się obowiązany przyjść w pomoc tam, gdzie nikogo nie było. Ujęcie się za Maryją zrobiło mu pierwszych nieprzyjaciół, a jój niewiele pomogło. Poczęto ją niegodnie prześladować Sewerynem i odwiedziny jego tłumaczyć najszkaradniej.

— Niesłuchaj Waćpan głupców, odpowiedziała mu Scholastyka, gdy jój o tém nadmienił — Niech sobie mówią co chcą, jedna ich potwarz zbija drugą.

Seweryn przywiązał się do Maryi — tak być musiało: oboje nieszczęśliwi, ubodzy, sieroty, wychowaniem, uczuciami, sympatyzujący z sobą, poznali się na sobie, ocenili — pokochali.

Ale ta miłość była bez nadziei — a Seweryn zmierzyszy swą przyszłość i ubóstwo, nie śmiał brnąć dalej w namiętności, która za sobą udręczenia tylko wiodła. Miłość więc jego była nieśmiała, choć jawna, ale ciągle się na pieczy mająca, by nie zaszła dalej, niż iść dozwalało sumienie. Oprzeć się widywaniu Maryi, gdy mu nie tego nie bronilo, nie umiał; nie starał się wszakże źle do niej zbliżyć, ile mógł, ile mu dozwolano. Skutkiem tego pełnego szlachetności postępowania Maryja sądziła jego przywiązanie umiarkowaném i chłodném. Jedna Ciotka wszystko rozumiała.

Prześladowana od jednych, nie tak kochana od Seweryna jak chciała, biędna Marja cierpiała na wszystkie strony. Nie wiem zkad, pomimo prześladowań, mimo ubóstwa, w jakąś

chwile nieszczęśliwą wpadła w oko Kulikowiczowi.

Z dumą i pewien przyjęcia zaofiarował rękę swoją, kładąc za warunek oddanie części Górrowa w posagu, a obowiązując się wzajemnie, utrzymać starego Krajczego i Ciotkę.

Starzec możeby był przyjął tę propozycję, ale panna Scholastyka, oburzyła się przeciw niej, Maryja na samo wspomnienie rozplakała i stary rzekł po cichu.

— *Spes in Deo*. Cierpliwości, jakoś to będzie.

Tym czasem Seweryn często zaglądał do Górrowa, ale zawsze równie grzeczny, równe dając dowody swego przywiązania, nie posuwał się nigdy nad nie dalej, i nie oświadczał wyraźnie.

Pierwszy to raz dnia tego, wyrwała mu się nierozważna propozycja zapłacenia Kulikowiczowi, dla oswobodzenia tych, których szanował i kochał.

Słowa wyrwały mu się z oburzenia bez za-

stanowienia, ale Seweryn co raz wyrzekł, dotrzymać czuł się obowiązany... Postanowił wyrzec się dzierżawy, sprzedać co miał i skryć się, dopełniwszy do czego się zobowiązał.—

Cała może przyszłość jego, na tém słówku zawisła, ale jój nie żałował dla Maryi. Wywiodłszy Kulikowicza do drugiego pokoju, po tém szepnął mu tylko następnych słów kilka:

— Proszę pana o grzeczność i delikatność dla tego domu, jestem i będę jego obrońcą. Dług jego opłacę i jeśli chcesz jutro zobowiążę się do tego legalnie, bo waćpan mógłbyś nie wierzyć słowu.

Za najmniejszą zaś oznakę niegrzeczności, niechęci, nieuszanowania, tak jak mnie waćpan żywego widzisz, pewnie i nieochybnie w łeb ci jak psu strzelę. Niech to zostanie między nami.

Z początku formalizował się i srożył Kulikowicz, ale w końcu zmiękczał i zamilkł. — Wiedział on że z Sewerynem żartować było niebezpiecznie, szydził więc z niego, ale po cichu i za oczy tylko.

Powiedzieliśmy wyżej, że Seweryn nie był lubiony w sąsiedztwie—jego układ szlachetny, umiarkowanie w słowach, nie łatwe poufalenie się i widocznie dająca się czuć wyższość, spowodowały najprzód niechęć, oziębłość, potem rodzaj sąsiedzkiej nienawiści, która zwykle dotyka wszystkich nieumiejących się poniżyć do najostatniejszego i zrównać, spodlec z najniższemi. Seweryn nie dzielił żadnych przesądów szlacheckich. Dla niego wieśniak był równym mu człowiekiem, którego pracę szanował, własność za świętą uważał, osobistej swobody nie krępował, którego uważał się opiekunem; to postępowanie zjednało mu przewrany dwa najsprzeczniesze. P. Teodor Doliwa nazywał go *demagogiem*, reszta tych panów *Grafem*.—Smiano się jak z najpotężniejszego głupstwa, z zapалу z którym biegł ku cierpiącym bez różnicy stanu, ludziom. Tłumaczono najdziwaczniej powody jego nocnych wycieczek do chorych, po karczmach, po wioskach, po dworkach. Rozpustnicy okrzyczeli go rozpustnikiem, chci-

wi chciwcem zamaskowanym; inni nierozumnym szaleńcem. Szedł li z pomocą ku biédnemu, bo jakkolwiek miał mało, nigdy nieodmówił nikomu — prorokowano ruinę, szydząc za jednym razem i z ojca i z syna.

— Nie ma co dawać, a daje! niedaleko zajędzie, mówili Hasling i Kulikowicze.

— Z chłopami obchodzi się jak z sobie równymi, menażuje ich, pieści — zobaczemy co z tego będzie! Okradną go, oszukają i na gospodarstwie zrujnują. Wieś którą trzymał w dzierżawie od nabywcy po ojcu swoim Seweryn, sąsiadowała z majątkiem Hrabiego Huberta, Sliwinem. Ztąd spór z Jaśnie Wielmożnym, w którym nienawidząc obu, sąsiedzi znaleźli obfite do potwarzy źródło — rzecz tak się miała.

Hrabia, który nie najprzykładniejsze prowadził życie i oprócz metressy *en titre* ustawicznie ganiał się za pięknymi twarzyczkami; napatrzył jedną szesnastoletnią w majątku dzierżawionym przez Seweryna. Anusia była córką leśniczego

dawniej poddanego Hrabiów, wyzwolonego później i osiadłego na gruncie sąsiedniej wioski, wpisanego nawet w jej ludność. — Hrabia Hubert przez Rotmistrza Wiłę, którego używał do spraw tego rodzaju; wprost uderzył do rodziców wiarując trochę pieniędzy, bydelko i coś tam jeszcze za kilkomiesięczny pobyt Anusi u siebie. Rodzice częścią dla zysku, częścią przez głupstwo zgodzili się na wnioski pana Rotmistrza; ale dziewczyna przełęczniona pobięła do dworu błagając pomocy.

Seweryn kazał jej zostać przy Ochmistrzyni.

Rodzice, którzy zadatek ohydny byli już wzięli, pomiarkowali że najlepiej było zatrzymać i córkę i pieniądze. Nie przeciwili się więc zatrzymaniu jej we dworze.

Hrabia zuchwały i pewien zezwolenia rodziców, nasłał swoich ludzi, nasadził szpiegów i kazał porwać Anusię. Szcęściem dla niej Seweryn wracał nocą z polowania, napadł na scenę tego szkaradnego dramatu i odwiodłszy kurki nienabitej strzelby, zmusił przełęcznionych kozaków do odwrótu.

Spór z tego powodu, przerodził się w proces, któren Hrabia pieniędzmi rodzicom danymi zagodzić musiał. A że szlachetne postępowanie Seweryna zmieścić mu się w głowie nie mogło, rozgadał że między niemi szło o Anusię nie darmo; rzucił na Seweryna plamę najbrzydszą — rozpustnika nadużywającego władzy nad poddanymi dla pastwienia się nad niemi.—

Co za wyborny pasztet dla sąsiedztwa! trzeba było widzieć, z jaką zgrozą szeptały o tém na ucho panny Hasling, pani Doliwowa i inne piękności powiatowe! trzeba było posłuchać i bić czołem przed cudnie uszytymi na tém tle powiastkami.

Jedna panna Scholastyka nie uwierzyła temu, druga Maryja.

Słowo przecież najniedorzeczniejsze tyle ma mocy na człowieku! Anna była w istocie tak piękną! tak piękną, że i Maryja w cichości nie jedną łzę wylała, choć rozum myśl winy Seweryna odpychał.

Kończyła się wieczerza skromna, dészcz je-

szcze łał ulewny, gdy posłaniec od Hrabiego zjawił się we drzwiach.

— Zastaję P. Kotlinę!

— Jestem — co takiego?

— Oto list — czekam z koźmi na pana.

Karteczka ręką Hrabiego napisana zawierała te słowa.

„Mój szlachetny nieprzyjacielu — Ratuj jeśli w Boga wierzysz — gorę z bólu, w drodze do domu noga spuchła i nieznośnych doznaję boleści — doktor wyjechał jak mi donoszą — jeśli mi odmówisz pomocy, w łeb sobie strzelę, bo nie umiem cierpieć.” —

— Co to jest? spytał Krajczy.

I wszyscy spojrzeli na Seweryna, który chował zarumienioną kartkę do kieszeni.

— Hrabia chory, doktora nie ma, prosi mnie o ratunek.

— Pan pojechałbyś do niego? zapytała Scholastyka — do tego —

— Ktokolwiek jest, cierpi — odrzekł Seweryn wstając.

Kulikowicz ruszył ramionami.

— Tém lepij.

— I ja bym to powiedział, gdybym nie był chrześcianinem — powoli odparł Seweryn.

— Osobiście wiele wycierpiałem od niego, ale to się nie może liczyć, przy cięższej urazie — tu spojrzął na Maryją —

— Przecież jadę.

Maryja miała ciche łzy w oczach — Ciotka dodała.

— Bohatersko! ale jabym się na to zdobyć nie potrafiła. —

— Niech sobie robi jak mu się podoba — szepnął cicho Krajczy — *Spes in Deo*, wszystko będzie dobrze.

— Jak Boga kocham nie rozumiem — dodał Kulikowicz — to coś na romans zakrawa —

Seweryn pożegnał wszystkich, a w progu pociągnąwszy z sobą Kulikowicza, rzekł mu do ucha.

— Pamiętaj pan, że choć nogi nastawiam, ale i połamać potrafię.

Oczekujące konie Hrabiego, zaprzężone do lekkiego powoziku, wiatrem się uniosły z przed ganku. Noc była już jasna choć jeszcze część chmury okrywała widnokrąg.





DWÓR PANA HRABIEGO.

Około jedenastej nocnej, powozik Seweryna, zabiegał przed ganek Pałacyku Śliwińskiego. Pomimo ciemności, ciekawie się w około oglądał przybyły, chcąc korzystać z tej dziwnej nocnej wizyty, bliżej obejrzeć miejsce. — Obszer-ny dziedziniec obwiedziony białemi słupy z wazonami, osadzony staremi topolami, z krągłym trawnikiem w pośrodku, zamknięty był domem mieszkalnym z kolumnadą, i dwoma officynami porządnymi.

Na bramie były herbowne znaki.

Sam dom budowany przez najoryginalniejszego ze skąpców, nosił ślady na sobie dwoiste: skąpstwa i nieumiejętności.

Ojciec powoli, oszczędnie, z wyrachowaniem co tańsze, co dłużej potrwa założył; syn nie nie umiejący, zgadujący tylko jakby co być powinno, dokończył.

Były tam rzeczy niesłychane. Proporcey kolumn osobliwsze i kapitele ekscentryczne, okna z małemi szybami, obok gzymsów i ozdób z kamienia i gipsu nasadzonych nie w miejscu. Dzieła syna widocznie rozeznąć było można; wszystko co Hrabia Hubert przyczynił, naśladowało gdzieś najrzane rzeczy, ale niedokładnie i fałszywie.

Z po za oficyn wyglądała wycachana, wytworna stajnia; za nią poczynął się angielski ogród ze zwierzyńcem, utwór Huberta. Gdy Seweryn nadjechał, światła były jeszcze we wszystkich oknach, ruch w dziedzińcu. W ganku stała gromadką dwornia Hrabiego, pod naczelnikiem swym Rotmistrzem Wilą.

Zaledwie wysiadłszy Seweryn spytał.

— Jak się ma Hrabia?

— Trochę lepiej — oczekuje niecierpliwie na pana.

To mówiąc Rotmistrz, przez sięć oświeconą wprowadził Seweryna do salonu, wychodzącego trojgiem drzwi parapetowych na ogród. Salon ten ozdobiony świeżymi meblami z Warszawy sprowadzonemi, zastawiony był niemi najniedorzeczniej. Stare sprzęty które Hubert nauczył się cenić, mieszały się z nowemi nabytkami, krzycząc jedne przy drugich. Zupełny nieład tu panował, krzesła rozprysły się po sali, stoły bokiem do siebie jak do pojedynku postawały, lampa paliła się w oknie. Przy lampie siedziała kobieta wytwornie ubrana, piękna, słusznego wzrostu, zuchwałego twarzy wyrazu. Ta ukloniła się milcząc Sewerynowi, zmierzyla go wzrokiem ciekawym i powoli odeszła. Była to druga czy trzecia metresa Huberta, panna Drolling, niemka, którą wywioził z Wiednia.

Zaledwie miał czas na nią rzucić okiem, ale i wielką piękność jej i najniestosowniejszy ubior mógł ocenić. Twarz choć młoda zeszpecona wyrazem samowoli i gwałtowności niejakięj namarszczona ślicznemi brwiami, dumnie i pogardliwie wzniesionemi usteczkami, malowała to życie zgryzot, boju, bojaźni, którém żyć musiała Hrabiowska kochanka. Biédna! jak gdyby swoje poniżenie zatrzeć czémś chciała — cała się w kosztowności i błyskotki okryła. Nie tyle może dla stroju one włożone były, co dla okazania obcemu, zamożności swój, wytworności, stopy na jakięj tu była. Obie ręce, a rączki miała prześliczne, od kostki do łokcia prawie okrywały najrozmaitsze bransolety, iskrzące się przy świetle lampy, na szyi fermuar i kolje z prawdziwych ametystów z brylantami, ogromna brosza na sukni, śliczna szatelenia u pasa. Cały stoliczek przed nią zarzucony kosztownemi gracikami.

Wszystko to razem czuć tylko dawało, że panna Tekla, poniżenie swoje rozumiała i za-

trzeć je usiłowała tém, co nie nie zaciera i niczego nie zakrywa, chyba dla ciżby ostatniój.

Salon urządzony pewnie z porady panny Tekli, byłby najsmutniejszego rozśmieszył, taka tu była mieszanina rzeczy nie spotykających się gdzieindziej, wytwornych i niesmacznych i znać tylko było, że panna Drolling, domyslała się że jest gust na świecie i sądziła że mieć go powinna, skoro ma pieniądze do rozporządzenia. Niestety! gust najtrudniój kupić

Dwór Hrabiego otoczył z ciekawością Seweryna. Na czele jego stał Rotmistrz Wiła, potężnego wzrostu, barczysty mężczyzna w czarnej zawieszisto szamerowanej i widocznie na przybycie obcego włożonój. Łysa głowa, blond włosami z tyłu zaczesanemi ubrana, wznosiła się nad tym ogromnym kłosem z kości i mięsa. Małe oczki bez koloru w pomarszczonych schodziły powiekach; pod ogromnym nosem, konopiate wisały wąsy, coraz poprawiane i podkręcane co chwila. Na ręku kilka pierścieni, bogaty łańcuszek na kamizelce. Za Rotmistrzem szedł jakby

dla kontrastu maleńki człowieczek pan Durczyński, nie młody już, znać z miny zakrawający na dowcipnisia i błazna. Ręce chude i długie, twarz koścista pomarszczona, włos szpakowaty, oczki czarne, gęba wykrzywiona dziwacznie. Na nim stary frak granatowy i cały strój stosowny. — Za panem Durczyńskim szli jeszcze trzech czy czterech rezydentów i błaznów rozmaitych twarzy i strojów; tłuszcza podrzędna, pod naczelnictwem Rotmistrza zostająca. Rotmistrz był totumfackim w domu, on kierował stajnią, zawiadował końmi, dysponował myśliwstwem, wyszukiwał różowych twarzyczek i czasem plenipotentował w powiatowym mieście. —

Przeciwnie pan Durczyński, nie nie robił, kpił tylko, dawał kpić z siebie, jadł, pił, spał — i nigdy się nie gniewał. Tak podle potulnego człowieka trudno było znaleźć drugiego. Hrabia też wysoce go cenił i kiedy niekiedy dawał mu krom starego fraka, jakie sto złotych gratyfikacyi, gdy się dobrze nim ubawił. Biedny

Durezyński nigdy nie bywał w złym humorze, zawsze i na zapotrzebowanie wesół, udawał przybyłe osoby wybornie, umiał mnóstwo wierszyków i anegdotek, które nieźle deklamował. Przed laty był nauczycielem domowym, ale raz poznawszy się wypadkiem z Hrabią, pomiarkował, że u jego boku było dla niego miejsce i osiadł. Lat dziesięć już nie rozstawali się. — Bez Durezyńskiego Hrabia był jak bez ręki — ziewał, nudził się i niewiedziało co robić.

Kiedy ten tłum darmozjadów obstał Seweryna, z ciekawemi minami, z wytrzeszczonemi ślipiami, gdy młody człowiek ujrzał się przedmiotem żywej ciekawości, a przyszło mu na pamięć, jak powszednim chlebem były te niewczesne żarty i bolesne mistyfikacye; pożałował chwilę, że się dał sprowadzić.

— Chodźmy więc do pana Hrabiego, rzekł do Rotmistrza.

— Hrabia, przerwał wysuwając się z pod łokcia Rotmistrzowi Durezyński, trochę usnął, może by go nie budzić.

— Ale był bardzo cierpiącym?

— Przez parę godzin — teraz zdrzemnął się.

— Możemy służyć herbatą? spytał Rotmistrz grając rolę gospodarza. —

Seweryn skłonił się w milczeniu.

Nie wiedzieć o czém było rozmawiać, co robić, stał jak na szpilkach.

Panna Tekla, ukazała się znowu we drzwiach salonu, okryta na ten raz szalem białym kosztownym, i widocznie zdobywając się na odwagę, którą grała przesadzając, usiadła u stoliczka.

Niebieskie jój pełne blasku oczy, przebiegły po zgromadzeniu i ustanowiły się na Sewerynie z uwagą.

— Niechże dają herbatę — rzekła po polsku, z wyraźnym jednak akcentem niemieckim. Pannie Rotmistrzu!

— Kazałem już — Proszę pana siadać, Seweryn padł raczej niż usiadł na krześle. Milczenie; komenda tylko pana Rotmistrza szepce po cichu — Seweryn ziębnie ile razy wspomni, że go mogą wybrać za cel jakiej mistyfikacji.

Ale chwilkę tylko trwało utrapione to milczenie i utrapieńsza jeszcze urywana rozmowa.

— Hrabia się obudził! Hrabia prosi! zawołał pan Durczyński.

— Cłódźmy!

Pośpieszyli przez drzwi w lewo wiodące, i minawszy dwa pokoje, z których jeden bilar-dowy, drugi biblioteczkę imitujący, do sypial-ni Hrabiego. Obszerny pokój z alkową, na któ-rój podwyższone piękne mahoniowe, z pawi-lonem stało łoże. Głęb, boki, sufit jego okryte były zwierciadłami.

Wielkie bióro pyłem przysute, kilka zielonych skórą wybijanych fotelów elastycznych, komin marmurowy, zdobiły sypialnię. Okna jój za-puszczone były ślicznemi story, ale zmiętami i zwalanemi. Kilka psów różnego rodzaju, leżały na poduszkach, w kątach, na kanapie.

Hrabia postrzegłszy Seweryna, wyciągnął rękę ku niemu.

— Wierz mi pan, zawołał — do śmierci masz we mnie najszczerszego przyjaciela! Tak mu jestem obowiązany! z serca! z serca!

— A noga panie Hrabio!

— A! rób sobie z nią co chcesz, odcinaj byle nie bolała! boli, spuchła!

— Zobaczymy!

Rotmistrz zbliżył świecę, ruszyli się słudzy, odsłonięto kołdry, odwinęto bandażę, które z ręcznie odjął Seweryn unosząc chorą nogę w powietrzu i pokazało się obrzęknięcie znaczne i czerwoność.

— Postawimy pijawki, rzekł Seweryn.

— Szkaradna rzecz! kole to niezdolnie i obrzydliwe stworzenie — rzekł hrabia.

— Cóż kiedy go niczem zastąpić nie można? Mamyż pijawki?

— Panie Durezyński, do ochmistrzyni —

— Są u panny Tekli, rzekł Rotmistrz. Na imię panny Tekli, Hrabia spojrzał Sewerynowi w oczy, potem na Wilę. Wilę kiwnął głową, jakby mówił — widział.

Seweryn usiadł na krześle obok hrabiego; — ten już na widok obcego w swoim domu, niepoohamowanej nabierał ochoty figla mu niewinnego wypłatać, oczy mu się paliły.

— Widziałeś, rzekł, moją Teklusię —

— Tę panią w salonie? spytał Seweryn.

— Tę panią — tylko mi jej nie zbałamuc, korzystając z mojej słabości — dodał śmiejąc się.

— O! panie Hrabio! nikogom jeszcze w życiu nie miał szczęścia zbałamucić.

— Doprawdy, ani nawet Anusi?

To wspomnienie, krwią oblało Seweryna, który się zżymnął.

— Przepraszam pana, nie mówmy o tém.

— Wierzę że jesteś pocciwszy odemnie starego łotra. Ale dla tego boję się o Teklusię.

— Gdybym przynajmnie, rzekł przybyły usiłując się do dziwnego tonu rozmowy nastróić — gdybym przynajmnie mógł walczyć z Hrabią? Ale cóż ja ubogi chłopak, dla panny Tekli znaczyć mogę? Tego rodzaju zdobycze pospolicie się płacą —

Hrabia westchnął.

— Starzy płacą, a młodym samo idzie.

— Wszyscy płacą, rzekł Seweryn — i wszyscy się oszukują — bo z przeproszeniem — ka-

żdy potém żałuje trochę targu dobiwszy, nie-
prawdaż?

Hrabia uśmiechnął się przymuszenie, pogła-
dził po czole.

— Mój drogi panie, rzekł, na świecie podo-
bno i to co się zowie daremném, co człowiek ku-
pi sercem, duszą, sobą i poświęceniem przy-
szłości, nazwać można *marché de dupe*.

— Co to pan Hrabia mówi? śmiejąc się spy-
tał Durezyński, który z za pawilonu głowę wy-
ścibiał — *Marsz* do czego? homerycznym śmie-
chem rozległ się pokój sypialny, Seweryn
zecerwieniał; szczęściem pijawki przyniesiono.

Hrabia się zmarszczył — trzeba było wytrzy-
mać ukąszenie dwudziestu kilku pyszczków!

Ale w czasie gdy się zabierano do roboty;
kiwnął na Wilę i począł mu coś szeptać na ucho
śmiejąc się — Wilę aprobował, potém zdawał
się sprzeciwiać, potém nareszcie zgodził się.
Seweryn nie bez bojaźni, postrzegł tę naradę
tajemniczą; ciągle się jakiejś mistyfikacyi oba-
wiając, z drugiej strony w głowie mu się po-
mieścić nie mogło, żeby Hrabia miał ochotę cier-

piący, z nogą potłuczoną i wywdzięczyć figlęm jakim, za staranie które tak zdawał się cenić wysocce. Wiła na chwilę zniknęła, ale natomiasz ukazała się przez drzwi sąsiedniego salonu panna Tekla, która czegoś zdawała się szukać w bibliotece. Było to może jak brausoletki i szal, nadaniem sobie jakiegoś tonu, okrycia się nową błyskotką.

Z kupionego towaru, usiłowała się przerobić w oczach obcego, na heroinę romansu.

Noga opatrzoną została; podano w sypialnym pokoju herbatę, na wspaniałych srebrach, z wytwornemi dodatkami, których zbytek zdradzał niespokojne przygotowanie. Hrabia ścisnął rękę Seweryna i dziękował

Darmozjady połapawszy każdy po filiżance i zagarnawszy co tylko zagarnąć się dało do zjedzenia, nalawszy sobie dobrą dozę rumu, z Durczyńskim na czele, który kieszeń wyładował ciasteczkami, odstąpili nieco, aby pożywać spokojnie. Seweryn został u łóżka. Hrabia z zajęciem zbliżał się do niego, wdzięczność jego zdawała się być żywą i prawdziwą.

— Pan mnie znasz, z jednej nieszczęśliwej awantury, w której więcej jest winy Rotmistrza niż mojej — rzekł, musisz się mną brzydzić? nieprawdaż — i wiele cię to kosztuje, że jesteś w moim domu.

— Ale, dodał, wszystko olbrzymieje zdaleka — niewierz wiele złemu, które o mnie sły-
szaleś. Jestem trochę łotr to prawda, trochę rozpustnik, ale każdy z nas w duszy taki, tylko się jeden kryje, drugi nie widzi potrzeby. —
Lubię błaznować, otaczam się takimi ludźmi, jak oto ci — i wskazał na zajądających — To są wszystko przeciwko mnie kreski. Ale potrzeba mnie bliżej poznać, a możebyś i pan ostrych zasad i niepohamowanego życia, znalazł co dobrego we mnie. Ludzie powiększają wszystko złe chętnie.

— Nie lubię pracy, mówił dalej, życie chcę mieć użyciem, to niesie samo karę za sobą. Nudzę się i zużywam! Lituj się więc kiedy chcesz, ale nie gardź mną — krzywdy ludzkiej nie mam na sumieniu — mogę to śmiało powiedzieć.

— Pozwolisz mi Hrabio, mówić szczerze? spytał cicho Seweryn.

— Proszę o to.

— A więc powiem, co najbardziej mam żalę czego pojąć i pogodzić z szlachetnym charakterem nie umiem.

— Ah! to zapewne szalonego kroku do domu Krajczego — zawołał Hrabia, niemówmy o tem, winieniem — ale więcej niż ja — ci! I znowu wskazał na jedzących i pijących w kacie.

Niemasz wyobrażenia — dodał, co to za podłe stworzenia.

— Godziż się żyć z niemi?

— Wytłumacz mi pan jeśli potrafisz, dla czego się bez nich obejść nie umiem. To mi potrzebne jak psy i konie.

— Panie Hrabio, ale w ich osobie upodla się przed tobą *człowiek*, a tyś sam człowiekiem.

— Myślisz pan, że bardzo wielkie, piękne mam wyobrażenie o ludzkości! O mój drogi panie! Dobrze ci z tém, żeś jeszcze tak młody. Niby się szanuje ludzkość, póki się jęj nie po-

zna! Plwam na nią — gardzę — nie wierzę w ideały żadne.

Westchnął Hrabia, ale jakby natychmiast pożałował chwili smutku i poważniejszej rozmowy, zawołał:

— Durezyński! tańcuj!

Na ten niespodziewany rozkaz osłupiał Seweryn, myśląc że go uszy zwiiodły. Stary eks-professor, porwał się susem z kanapy na pański rozkaz.

Było coś boleśnego, przykrego w widoku tak spodłonego człowieka, w téj starości, nie umiejacój się szanować i nie poszanowanój.

Wszyscy zajadający poczęli jakiś taniec chórem śpiewać, a Durezyński z dziwnymi pantominami tańcować. Seweryn ogłupiał.

Durezyński w kąt! zawołał Hrabia. I Durezyński ukloniwszy się dziwacznie wśród okłasków ciżby, wsunął się na kanapę, przeciw swojej filiżanki. Ale — o zgrozo! herbata z rómem była wypita — a ciastka znikły mu z kieszeni.

— Jaśnie Wielmożny Grafie! zawołał tragicznie Dureczyński włączając na stolik i machając rękoma, proszę o głos!

— Cóż powiesz?

— Krzywda mi się stała —

— Jaka?

— Proszę o głos i cierpliwość. Wiadomo Jaśnie Wielmożnemu Grafowi, że kocham się w Ekonomównie, pannie Petronelli, która mi płaci obojętnością i kułakami. Nie tak przywiązania nie wzmaga jak szturchańce; miłość więc moja wzrasta z siłcami. Myśl zajęta wdziękami Petronelli, w każdym kroku idzie ze mną i wszędzie mną kieruje. Gdy roznoszono ciasteczka, przyznaje—*furtum feci*, napakowałem ich w kieszeni. Ale nie podle łakomstwo mną kierowało, nieszczęsna, zapamiętała miłość. Dla niej były biszkopty i makaroniki, które przysiadłszy macerowałem w kieszeni.

W czasie baletu mego, gdym miał święcie być przez Waszą Grafowską Mość okryty oklaskami zasłużonemi, bom sobie o mało nóg nie

powykręcał: oto ta ciżba, oto ta tłuszcza, oto ci ludzie wykradli mi ciastka — wypili herbatę z rómem dolanym dla zapomnienia o moich nieszczęściach miłosnych i szturehańcach przeszłych! Proszę sprawiedliwości! Błagam jój!

Głośnie śmiechy towarzyszyły téj mowie, której Seweryn wysłuchał przecierając sobie oczy. Hrabia odezwał się.

— Oto mój wyrok. Co się zjadło, to przepadło, dać panu Durezyńskiemu ciasteczek i herbaty; ale z warunkiem. Miłość jego dla panny Petronelli, niezgrabna i niefortunna, cały ród mężki w jego osobie znieważa.

Godziż się nie być kochanym, a być bitym? P. Durezyńskiemu dany jest ostateczny termin dwadzieścia cztery godziny, po upływie którego obowiązany złożyć dowody, że został kochanym i zwyciężył.

— To będzie trochę trudno — rzekł skrobiąc się w głowę stary błazen — bo — JW. Grafie — chybabym działał przez *plenipotentą*, sam czując się *inpotentem*.

Szalone śmiechy znowu koncept ten pokryły. Durezyńskiemu postawiono róm z flaszką, pozwalając za dowcipne słowo, uraczyć się dozwoli.

Wszedł Rotmistrz Wiła i znowu do Hrabiego się zbliżywszy, coś mu szeptał!

— Czuję się sennym rzekł Hrabia — dobra noc — Rotmistrz pokaże panu jego apartament, wybacz jeżeli by ci nie było dosyć wygodnie, sam nie mogę wstać, ale spodziewam się —

Będzie mi dobrze, rzekł Seweryn, niech Hrabia będzie spokojny, nie przywykłem do wielkich wygod. —

— Dobra noc.

Poważnie, w milczeniu P. Wiła przeprowadził Seweryna, przez biblioteczkę, bilardowy pokój i salon.

W salonie siedziała jeszcze panna Tekla, która ukloniła się i na kilka słów wyrzeczonych po cichu przez Wilę, poszła do Hrabiego.

Seweryna wywiódł Rotmistrz z salonu do sieni, z sieni we drzwi, w które gdy wcho-

dzili, ludzie stojący tu dusili się od śmiechu. Seweryn tego nie widział.

Minąwszy przedpokój, szybko weszli do pokoju, w którym było prawie ciemno, jedna lampa paliła się w kątku. Pan Rotmistrz wiódł za sobą służącego.

— Niech że się pan rozbiera i kładzie, rzekł szybko — potrzebujesz pewnie spoczynku. Seweryn oburzony, zmieszany słuchał jak dziecko, ani się obejrzał po pokoju, któren jednakże, na jedno uważniejsze spojrzenie, wydał by mu się dziwną przynajmniej dla niego sypialnią.

W pokoju tym pełno było kwiatów, na oknach, na etażerkach, w kątach. Jeden stół ogromny ze zwierciadłem pokryty był muslinem, kilka niskich wygodnych sofek stały przy ścianach, na jednej z nich leżała ogromna czarna chustka kobieca. Łóżko z brązami, osłonięte muslinem, paradowało na podwyższeniu, łóżko przybrane, miękkie, sybaryty lub kobiece. W mgnieniu oka rozebrano Seweryna, Rotmistrz dał dobranoc i ze służącym wyniósł się

się za drzwi. Na stoliczku u łóżka paliła się lampa, młody nasz chłopiec z fajką w ustach, przewracał książkę, którą znalazł tu roztwartą i dumał.

Książką tą byli *Rozbójnicy* Schillera. Seweryn wpadł na monolog Moora i czytał, czytał jak to się czasem czyta oczyma, myśląc o czém inném. Tyle najrozmaitszych dumań wiły mu się po głowie.

Pół godziny tak może upłynęło.

W tém drzwi pierwszego pokoju, otwierają się po cichu.

Seweryn ucha nastawił.

Rzecz dziwna, słyszy westchnienie i jakby szelest kobiecej sukni, krew wystąpiła mu na twarz.

— Co to jest? myśli. Zdaje mi się!

Ale w tém i drugie drzwi się otwierają, we drzwiach staje postać kobięca — To panna Tekla, głową odwrócona ku drzwiom, odpina warkocz, rozpuszcza włosy, postępuje wolnym krokiem nie patrząc, sądząc się widocznie sa-

mą — Składa na stoliczku swoje bransolety, broszę, rękawiczki; wyciąga znużone ręce, odpina suknię.

Seweryn stracił przytomność, i niewiedzial co począć z sobą — nie miał głosu, by się odezwać — Ona nie widziała go; zrzuciwszy szal, rozpuściwszy długi warkocz włosów, postąpiła ku łóżku.

W tém krzyk dał się słyszeć —

Ujrzała Seweryna, który z otwartemi usty, nieśmiejąc się ruszyć, leżał sparty na poduszce.

— Co pan tu robisz!

— Pani, ja nie wiem.

— Ale to jest niegodnie — to —

— Pani —

Ledwie tych kilka słów przemówić mogli, gdy drzwi rozwarły się z łoskotem i Hrabia niesiony na ręku służących, z całą swoją czeredą, ukazał się.

Panna Tekla wściekle rzuciła się ku niemu łajając wszystkiemi językami, jakie umiała, po polsku, po niemiecku, po rusku, po francuzku, Hrabia zachodził się od śmiechu.

To mnie uleczy! wołał— Daruj! daruj! panie Sewerynie! Nie ma dalibóg za co się gniewać. To Rotmistrz skomponował ci tę siurpryzę, szkoda tylko, że panna Tekla zawcześnie się postrzegła. O! wybornie!

Rotmistrz śmiał się chowając w kącie od panny Tekli; która uderzywszy go w twarz, przebiła się przez ludzi i uciekła.

Seweryn nie wiedząc czy się ma gniewać, czy śmiać i nie czując się tak bardzo obrażonym, chwycił się z łóżka, niemogąc potamować wesołości, którą w nim mimowolnie ta pocieszna wzbudziła mistyfikacja. Przypominając sobie, podziwienie panny Drolling, jój gniew, jój skok ku Rotmistrzowi i dany mu policzek, trudno było w istocie, nie pośmiać się trochę.

Hrabia stękał na nogę i zachodził. Podano szlafrok Sewerynowi, a Hubert z chorą nogą spoczął na łóżku panny Tekli.

— Szampańskiego wina! zakrzyczał gospodarz, zdrowie mojego gościa i panny Tekli, zdrowie Rotmistrza.

— Bylebyś Hrabia nie pił! rzekł rozbrojony Seweryn —

— Jeden kieliszeczek!

— Lepiej by żadnego —

Wniesiono tacę, kielichy i z wielką radością rezydentów, którzy szampańskie wino pili z uszanowaniem, dobyto butelek.

— Nie gniewasz się, rzekł Hrabia do Seweryna.

— Panna Tekla chyba gniewać się za to może, odparł grzecznie chłopiec. Boję się żeby mnie nieposądziła o należenie do spisku.

— Wszystko się skończyło na Rotmistrzu, kielich w górę wznosząc, zawołał Durezyński. Zdrowie twarzy pana Rotmistrza, która życzenia tego najbardziej zdaje się potrzebować.

— Policzek od kobiety — przyjmuję zawsze z radością — odparł Wiła.

— Pijże Rotmistrzu!

Wesoło chichocząc, rozeszli się wszyscy; nareszcie Hrabiego zaniesiono do jego pokoju, a Seweryna przeprowadzono do przygo-

towanego apartamentu, na ten raz snu już mu nie przerywając. Nazajutrz rano, Hrabia miał się lepiej, panna Tekla nie pokazała się; Seweryn po śniadaniu odjechał.





WĘZEL DRAMATU.



WĘZEŁ DRAMATU.

Nazajutrz Seweryn siedział w domu i poglądał w okno, tęsknie zamyślony, gdy wózek pana Kulikowicza zatoczył się w dziedziniec. — Sławny to był w sąsiedztwie zaprząg — Kałama-szka stara z odrapanym koziółkiem, trzema kutei i jedném nie okutém kołem, do niéj porwanemi i pozwięzywanemi postronkami uczepione trzy szkapy chude: gniady, siwy i bułany. Woźnica w siermiężce, czapce wysokiéj, łapciach i płóciennych szarawarach, popędzał.

Na zasłaniu kilimkowém, starém, siedział skurczony we dwoje, w płaszczyku letnim nasz spekulant. Nigdy on inaczéj nie jeździł, a tym którzy się z niego śmieli, odpowiadał, że panowie P. P. O. O. R. R. nie inaczéj dorabiając się fortuny jeździli; a jednak dzieciom miljony zostawili i na starość rozlegali się w wiedeńskich karetach.

Bardzo śpiesznie wysiadł Kulikowicz z wózka, rzucił płaszcz i wpadł do pokoju. Seweryn wcale się w jego spotkaniu nie śpieszył; domyślał się jaki był powód przybycia i kwaśno go przyjął.

Dość pokornie wszedł Kulikowicz do pokoju i usiadł na wskazaném krześle.

— Jestem na pańskie rozkazanie — rzekł.

— Oczekiwałem na niego, odparł Seweryn.

— Możemy skończyć interesa w dwóch słowach, ja lubię tak — od razu — Tak, nie — słowo — ręka i koniec.

Była to słabość Kulikowicza, że się miał i głosić lubił za ucziwego i łatwego w interesach człowieka.

— Cóż pan masz u Krajczego? co ma pan Krajczy?

— Stan rzeczy następujący.

Tu odchrząknął i rzucił okiem bystro jak by się chciał przekonać — czy Seweryn zna cokolwiek interes, czy nie wcale; ale na twarzy jego nic nie wyczytał. Zaczął więc wahać się.

— Krajczy ma część w Górowie, składającą się: z dwudziestu dusz poddanych, dwudziestu pięciu morgów ziemi ornęj w każdą rękę, trochę błota i sadyby —

— To wszystko? spytał Seweryn.

— To wszystko, jakając się rzekł Kulikowicz.

— A las? rzekł Seweryn zimno.

Spekulant zakrztusił się, myślał że las przejdzie milczkiem. Trzeba zaś wiedzieć, że z ostatniej eks-dywizyi pozostało Krajczemu dwadzieścia górą włók pięknego i szanowanego lasu, którego niedaleko będąc od Buga i mając towarne drzewo, dość wysoki był war-

tości. Krajczy byłby go sprzedał, gdyby sekwestr nie leżał na majątku.

— A tak, jest las! dodał Kulikowicz, włók piętnaście.

— Górą dwadzieścia — przerwał Seweryn.

— O ho! pomyślał przybyły, trzeba tu inaczej począć, nie zjem go tym sposobem w kaszy. Las — podchwycił zaraz, nie idzie u mnie w rachubę, bo mamy na tym majątku ciężary, które go kompensują.

— Oto chodzi, czy jest lub nie ewikcyja dla mnie, rzekł Seweryn — panu się należy 15,000 złł. ja płacę je i przechodzę w jego prawa.

— Przepraszam — zawołał Kulikowicz — kwestyja wcale inna. Ja nie 15,000 mam na Górowie, ale mam Górów cały w kieszeni.

— Nie zdaje mi się —

— Tak jest — Mam Górów — Licytuje go — nikt do licytacji nie staje, biorę na siebie niedoimkę i płacę ją, kasuję swój dług i biorę część, która mi koniecznie potrzebna do mojej.

— Przepraszam pana — odparł Seweryn —

Rzecz się ma inaczej — Licytujesz pan, ale jastaje do licytacyi, spłacam pana, spłacam za ległości, biorę część Górowa, wyrabiam las i odbieram moje pieniądze, a Krajezemu zostawiam czysty folwarczek.

Kulikowicz, który Seweryna miał za niepojmującego interesu wcale, wziął za czapkę.

— To tak! zawołał — a po cóż ja tu przyjechałem? Ja pana w kaszy nie zjem, a pan mnie także.

— Trzebaż koniecznie, żeby z nas jeden został zjedzony?

— Ja inaczej interesu nie rozumiem, tylko z korzyścią.

— Ja panu przy układach ostatecznych jój nie odmówię, odparł Seweryn.

— Na co tu baki świecić, mówmy otwarcie.

— I owszem.

— Pan nie masz pieniędzy, a ja mam zawsze gotówkę.

— W téj chwili nie mam — ale o nowym roku —

— Zkąd że pan się spodziewa mieć je o nowym Roku —

— Chociażby ze sprzedaży krestencyi —

— Krucha ewikcyja! Wszystko spada —

— Wełna, pszenica, żyto, owies.

— Ja wiem wiele pan ma —

— Pan wiesz?

— Zaraz panu wyliczę — zaczął Kulikowicz, wiedząc sąsiedzi jak kto siedzi. Wełny od pięćdziesięciu do siedemdziesięciu pudów?

— Być może.

— Pszenicy najdalej trzysta korey — żyta tyleż; aręda idzie pięć tysięcy, jarzynę rachuję z innemi przychody na koszt — na....

— Zda mi się, że to coś pan wyliczył wystarcza?

Kulikowicz pomyślał.

— Na piętnaście tysięcy? aż nadto, ale koszt, ustępne i t. d. Wiesz pan co?

— Cóż takiego?

— Propozycya —

— Naprzykład jaka?

— Ustąpisz mi pan od 24 dzierżawy —

— Tu przypomniemy czytelnikom, że Seweryn trzymał dzierżawą majątek, który należał dawniej do jego rodziców, gdzie spędził młodość, dzieciństwo, gdzie spoczęli najdrożsi mu, gdzie każde miejsce było wspomnieniem. Odstąpić dzierżawy, było to nietylko wyrzec się zysku, rzec prawie ostatnich funduszków, ale ustąpić z miejsca, co jedno na całym świecie wdzięk i wartość dla niego miało.

Ofiara była wielka, ciężka —

— Jakże pan chcesz bym mu odstąpił dzierżawy? Nie mam do tego prawa naprzód i gdy już mówimy szczerze, powiem mu, że ten co mnie puścił możeby nie ośmielił się puścić panu?

— Dla czego? zuchwale spytał Kulikowicz; chyba że pan rozpuszczasz chłopów, a ja ich potrafię w ryzie utrzymać! Cha! Cha! każdy wie, że chamowi cugli popuścić nie można. Zresztą nikt się na mnie z moich jurisdatorów nie skarżył.

— Ponieważ interes ten potrzebuje opisów, zjedziemy do miasta. Znajdziemy tam dziedzica mego. —

— Bardzo dobrze — a że nie mam koni pochorowały mi się — pojedę z panem. Seweryn się skrzywił, ale przystał na propozycją. Było po obiedzie.

— Każ pan co dać przetrącić! rzekł spekulant.

— Naprzykład?

— Wódki i wędliny. —

Gość to był tego rodzaju, co zawsze wyjeżdżał z domu na czczo, żeby nie jedząc u siebie, oszczędzić choć cokolwiek. Dla tego o trzeciej z południa, dopominał się nietrafiwszy na obiad, o wódkę starą i wędlinę.

Zaledwie oddalił się Kulikowicz, Seweryn kazał osiodłać konia i ruszył do Górowa. Potrzebował rozmówić się z Krajczym i zasięgnąć rady jego. Z majątku dzierżawnego, do Górowa, prostszą drogą, przez lasy i brody, nie było więcéj nad milkę; lasami dojeżdżało się,

aż pod gaik, któren się poczynął zaraz za ogródkiem Górowskim. Seweryn siadł na gniadosza i ruszył, o ile mu dozwalała droga najprędzėj.

Naprzód błotami po niegodziwych grobelkach i dziurawych mostkach, potem gęstym sosnowym lasem, drogą piaszczystą i przeplataną korzeniami, nareszcie brzezniakiem dostał się aż pod ogród Seweryn. —

— Gaj, poczynający się za płotami ogródka, zieloną usłany murawą, rzadki z prześlicznych brzoź złożony, kończył się tuż pode dworem. Kilka ścieżek wydeptanych i ławka, zastanowiły tu przybywającego; głos z daleka go wołający, zatrzymał.

Maryja siedziała pod brzozą —

Seweryn puścił konia i poskoczył ku niěj.

Powitali się tak czule, że niewprawnemu oku, zdało by się obojętnie.

Maryja zarumieniła się gdy ją brał za rękę; Seweryn pohladł. Niewiedzieli jak począć rozmowę.

— Jak się ma pan Krajczy?

— Zdrow, zasnął!

— A panna Scholastyka?

— Wyszła do gospodarstwa — Mówiąc to Maryja zarumieniła się.

Usiedli na ławce pod brzozą.

Chciałbym się widzieć z Krajczym, rzekł Seweryn, który wbrew zwyczajowi pospolitych kochanków z romansu, nie myślał korzystać wcale ze spotkania sam na sam z Maryją —

— Myślę, że się w krótkce obudzi —

— Chcę go się poradzić, co mam zrobić z tym niegodziwcem Kulikowiczem.

— A! znowu ten człowiek, zawołała Maryja — Dla czegoż chcesz się pan płatać w nasze nieszczęsne interesa? Możemyż to przyjąć. Ciocia powiada że nigdy na to nie pozwoli — i ma słusność.

— Mój Boże — odezwał się Seweryn — Jest że to co tak wielkiego? Wprawdzie nie mam wiele; ale gdybym miał miliony, oddałbym je dla waszój spokojności.

— To są miliony w istocie, bo może wszystko co pan masz.

— O! pani myślisz, że już tak ubogi —
Ja się tego nie wstydzę — prawda, ubogi je-
stem, ale mi tak łatwo samemu jednemu na
świecie bez obowiązków, bez ciężarów, dać so-
bie radę, zarobić, zapracować —

— Ale powiedz że mi pan — jakim prawem
narzucasz nam taką ofiarę? Przecież miarku-
jesz, że się takie usługi przyjmują tylko —

— Od krewnych, od bliskich — od swoich;
więc mnie państwo nie liczycie do swoich?

Maryja zamilkła i spuściła oczy.

— Jakim że prawem moglibyśmy?

— A! Maryjo, zawołał mimowolnie Seweryn,
trzebaż słów na to —

Milczenie krótkie; obejrzał się pomieszany i
ściskając ją za rękę — dodał zmienionym
głosem.

— Ja cię kocham — dla ciebie —

Dwie łzy puściły się z oczów biédnej dziew-
czyny.

— Nie mów tego — zawołała cicho — nie
mów — Na cóż się nam przyda miłość?

Czyż ubogim i kochać nie wolno?

— Ale śmiałażbym przyjąć ofiarę tę daleko większą od pierwszej — Czémże ją opłacić?

— Sercem —

Maryja zamilkła — Dawno ono twoje pomyślała — ale nie śmiała powiedzieć. Seweryn który raz pierwszy zebrał się na wyznania, nie odbierając odpowiedzi, wyobraził sobie że Maryja go odpycha — Odstąpił i nie rzekł więcej. W tém głos Krajczego dał się słyszeć z okna.

— Mocia panno Marjanno!

— Jdę stryju! idę — odpowiedziała żywo ruszając się z ławki. Seweryn chwycił konia za uzdeczkę i smutnie powlókł się za nią.

— Oho! i jeńca prowadzisz! rzekł stary witając Seweryna. Jak się masz!

Nim Seweryn oddał konia parobkowi drwa rąbiącemu w dziedzińcu, Maryja przemknęła się i znikła. Nie zastał jój w pokoju i stary tylko Krajczy go powitał zwykłym:

— Cóż tam słyhać?

Przybyły począł wręcz od interesu; opowie dział o układach swoich z panem Kulikowiczem i prosił o poradę.

— To, jak się mu podoba — rzekł Krajczy, któremu ciężko przychodziło zmódczyć się na co stanowczego. Ja, nie jestem przeciwny, i owszem. Możeby poradzić się panny Scholastyki, kobiety czasem miewają zdania bardzo trafne. Nigdy nie zapomnę, jak księżna Kancelryzna wygrała proces swoją własną sztuką, która najbieglejszych jurystów zastanawiała. Zresztą, wolę być jego dłużnikiem, niż tamtego Jegomości.

— Ja myślę, że las wypłacić może i ten dług i inne zaległości, a folwarek zostanie nietknięty panu Krajczemu.

— A las! rzekł stary, który miał słabość do tego hodowanego całego życia kawałka, ale w tym lesie są krocie, to cała moja nadzieja — jabym nie chciał go zbywać?

— Jednakże lepiej las jak Górów —

— Zapewne, ale to powoli — namyśleć się

potrzeba; a zawsze ja chcę sobie las zostawić.

Seweryn zamilkł, nadeszła panna Scholastyka — W istocie była to jedyna tu osoba, z którą się rozmówić o interesie jako tako, można było. Seweryn opowiedział jej wszystko.

— Mój kochany panie Sewerynie — ryzykujesz się na próżno, odpowiedziała, wiemy co masz, dajesz wszystko dla naszej spokojności — Nikt takich ofiar nie robi dla starych panów Krajczych, lub takięj jak ja panny Scholastyki, podżyłęj gaduły i weredyczki. Waćpan kochasz Maryję?

— Pannę Maryję szanuję, ale —

— O! zmiłuj że się, w żywe oczy mi kłamiesz, kochasz ją —

— Ale panna Maryja mnie nie kocha — odparł żywo Seweryn.

Scholastyka spojrzała mu w oczy zadziwiona, milcząca.

— Doprawdy! spytała niby serjo.

— Jestem tego pewny.

— Przyznam ci się, że jeśli tak myślisz, i

nie masz zamiaru starać się o Maryję, ożenić się z nią, nie wiem dla czego byś wszystko co masz dawał pierwszemu z brzegu.

— Ja nie nie potrzebuję —

— Dziś, może — ale będziesz potrzebował. A potem godziż się myśleć, że my to przyjmujemy?

— Gdybyś zaś, dodała po chwili, chciał się żenić z Maryją — jabym ci pierwsza odradzała. Możesz świetny los zrobić —

— O! kochana pani — ja nie chcę świetnego losu, dla mnie najwyższém szczęściem byłaby ręka Maryi, ale ona —

— Cóż to znowu? popstrykaliście się? Widziałeś dziś Maryją?

Seweryn się zarumienił — Spotkałem ją jadąc.

— Rozumiem! zawołała panna Scholastyka — Tém lepiej, pokłucie się, porzućcie, ty ożenisz się bogato, ona pójdzie za Kulikowicza.

— Ona! za niego!

— Byłby najlepszym mężem. Jabym go za nos wodziła, przysięgam.

— Pan! go nie znasz. —

— Chcesz to ci go odmaluję: głupi a chytry i przekonany o swoim rozumie wysoko, bez serca, bez wychowania, bez uczucia, bez wiary, cały w groszu i zysku —

— Słowo w słowo! żywy! Ale czémże go poprowadzić?

— Próżnością —

— Jakto? —

— On jest pełen skrytój dumy i próżny, robi zacięcie majątek, aby niem kiedy błysnął. Wiesz pan jego pochodzenie, jest synem Diaka, wstydzi się tego, niewiedzieć dla czego i wznieść pragnie. A że się tai ze swoją słabością, ślicznie bym kierowała nim, chwyciwszy za tę niteczkę.

Seweryn się zamyślił. —

— Dziwne projekta.

— Tonący brzytwy się chwyta —

— Czemuż nie mojej ręki, gdy ją podaje?

— Są ofiary, których się przyjąć niegodzi, mój kochany. Sierota, pocziwy, ubogi, ła-

two by cię uwikłać, ale na to potrzeba ludzi bez serca i czoła.

— O! gdyby mnie Maryjakochała, rzekł Seweryn. Scholastyka znowu mu w oczy spojrziała.

— Siadaj no pan, każę podawać poziomki—

I wymknęła się z pokoju na przeciwek. Maryja siedziała w swojej izdebce, podparta na ręku i smutna patrzyła za okno.

— Maryniu! zawołała wchodząc panna Scholastyka—powiedz—mi no ty szczerze, otwarcie, jak mnie kochasz, coście tam w brzezynie spotkawszy się mówili z panem Sewerynem?

— My! my Ciociu?

— On czegoś smutny, jakby się skarżył na ciebie — Czy tak bardzo był natarczywy żeś aż musiała —

— Ciociu! co za myśl!

— Oświadczył ci się?

— Cóż podobnego —

— A ty?

— Ja nic mu nie odpowiedziałam.

— Tegoż to tak stęka! Chodź do pokoju, bądź wesolą i dodaj mu serca.

— Cóż z tego Ciociu?

— O! cóż ma być? pobierzecie się i będziecie żyć szczęśliwie jak w bajce, otoczeni mnóstwem ślicznych dzieci.

— I bez chleba! szepnęła Maryja.

— A wiesz co Krajczy ciągle powtarza?

— Wiem Ciociu i wiem że to mu na nie się nie zdało, ostatek Górowa zabiorą.

— Nie zabiorą, bo Seweryn płaci —

— Ale my tego przyjąć nie możemy! zawołała Maryja.

— To, na dwoje, moja droga — albo przyjmujemy albo nie — Jeśli się żeni z tobą.

— On ze mną! Ciociu, cioteczko, pomyśl, odebrać mu swobodę, majątek i dać mu w zamian —

— Maryją, którą kocha —

— Cóż ta Maryja! moja ciociu! dwa ubóstwa w miejscu jednego.

Oślawiona, prześladowana, wyśmiana, — i spuściła głowę smutnie.

— O! gdybym była, czém być mogłam, bogatą dziedziczką, jakże szczęśliwą, jak szczęśliwą — rzuciła bym się ku niemu —

— To tylko chciałam wiedzieć z pewnością, zawołała Scholastyka — podawajcie poziomki, chodźmy do pokoju — Służę pannie Maryi.

— Jeszcze chwilkę, nicch się uspokoję —

— A! więc jesteś niespokojna? biedaczka! Musiemy przecież wyjść —

Maryja w duchu myślała —

— On mówi że mnie kocha — ale to fantazyja młodego człowieka, to nie jest gwałtowne, wielkie, silne, wieczne przywiązanie — Mówił do mnie z takim uszanowaniem, tak ostrożnie, tak bojaźliwie.

— Podają poziomki, chodźmy do pokoju, powtórzyła Ciotka — Seweryn został sam na sam z Krajczym — niebardzo go to ubawi.

Obie wyszły za służącą, która na półmisku wyniosła poziomki do pierwszego pokoju. Rozmowa była zupełnie obojętną.

Seweryn niezdecydowany wyjechał ku wie-

czorowi, tylko ostatnie wejrzenie Maryi, głęboko mu w sercu utkwiło. Ono mówiło mimowolnie daleko więcej, niż wszystkie słowa — mówiło jasno, wyraźnie, boleśnie —

— Kocham cię —

— Chcą czy nie chcą, rzekł Seweryn jadąc, uratuję ich, zapewnię spokojność — Mnie nie potrzeba — mogę pracować. Zostanę lekarzem, wyjadę daleko, na Syberyę, na Kaukaz — Kawałek chleba znajdę wszędzie. Przykro mi będzie opuścić to miejsce, gdzie leżą rodziców popioły — ale nad wspomnienia smutne, cóż tu więcej zostanie? Wspomnienia pójdą wszędzie ze mną — Ona będzie spokojną, będzie szczęśliwą — ja — mnie nie trzeba.

— Oddalić się od Maryi, ciężko, boleśnie, zostawić ją tutaj wśród tych ludzi!

I przebiegając myślą, to sąsiedztwo zazdrośne, nielitościwe, szyderskie — wzdrygał się.

— Pozostanę, mówił znowu po chwili — bezemnie któż ich tu obroni od napaści! Na jednego Hrabiego rachować mogę, że więcej

nie zaczepi ich, dał mi słowo, a dotąd przynajmniej dotrzymuje słowa, ale inni —

Gdy tak duma, kłusowanie konia zwróciło jego uwagę, ktoś konny go napędzał; to pan Teodor Doliwa, ze smyczą chartów, w opiętym zielonym surduciku.

— Dobry wieczór panu!

— Dobry wieczór.

— Jak się udało polowanie?

— O! wzgardliwie rzekł warszawianin, przygotowując sygaro, które zawsze zapalał gdy był w towarzystwie, lub z kim się spotkał — Nie mam szczęścia do polowania i pomimo, że kupiłem niesłychanie drogo dwa najlepsze charty w sąsiedztwie — zawsze powracam próżno i śmiech tylko matki mam w zysku. Nie jestem stworzony do polowania.

Pan Teodor chętnie udawał poetyczną duszę.

— Co za śliczny wieczór! dodał, nieznajdziejże pan, że myślistwo może być tylko dobrym pretekstem zachwycania się naturą i słodkich dumań sam na sam z sobą.

Seweryn kiwnął głową z uśmiechem.

To niedowarzone pacholę, grało dalej poetycznego młodzieńca.

— Myślistwo, dobrze się zowie — człowiek myśli gdy jest sam z sobą. — A natura! natura! Cudna! nawet w naszym kraju!

— W naszym kraju jak gdzieindziej, ja myślę —

— O! i ja zachwycam się tём co jest własne, ale wyznasz pan —

— Nie byłem w obcych — niemogę sądzić; ale znając Karpaty z jednćj, brzegi morza Czarnego z drugićj strony, Litwę i Podole — nie wiem czy możemy komu piękności przyrodzenia zazdrościć.

— Zapewne, rzekł pan Seweryn — zapalając sygaro — wszakże. —

— Słyszałem, przerwał nagle, że pan wykurowałś Hrabiego?

— Zrobiłem co mogłem w niebytności lekarza, ale nie wiem czym mu dopomógł.

— Pan byłeś u niego?

— Chwilkę —

— Śmiem pana zapytać, czy to prawda, że ta niemka —

— Co takiego? marszcząc się spytał Seweryn.

— Że ta niemka śmiała napastować go — I złośliwie się uśmiechnął.

— Napastować? mnie?

Seweryn się śmiać zaczął i widząc że już usłudni sąsiedzi zrobili sobie pasztecik z figla tego, opowiedział jak rzecz była.

— Myśmy słyszeli — rzekł Doliwa, że to wcale było inaczej, że Hrabia furjował, że ją uderzył, że pan —

— Daję panu słowo honoru, że było jak opowiadam.

Wyjeżdżali z lasu.

— Mogę pana prosić do siebie? rzekł Teodor, wskazując na czerniejącą nieopodal Pokotyłowszczyznę.

— Jestem nie ubrany —

— Matki mojej nie ma w domu —

— Służę panu —

Niechciał odmawiać Seweryn — aby się bardziej w tém nieszczęsném sąsiedztwie nie narazić. Pojechali więc ku Pokotyłowszczyźnie. Opisaliliśmy wyżej króciuchno sadybę Doliwów, w której była ochota wszystkiego, i pretensyi pełno. Najgorszem ze wszystkiego, że długi, nie dawały skutecznie rozwinąć tyśiąca myśli, które państwu Doliwom przychodziły.

Diedzińczyk był osztachetowany i osadzony, ale że sąsiadował z folwarkiem pasły się na nim kury, gęsi i świnki, na które z wielką furją powstał pan Teodor wprawdzie, ale bezskutecznie. Sztuka grubego płótna wisiała na sztachetach. Brama niby gotyckiego rysunku świeżo poczerniona, na niby żelazną, zamykała podwórze od drogi. Facjata domu z bogacóna była markizą z szeregu dwudziestki oszyta życzką ponsową; spartą na słupkach zielonych — i galeryą zaszkloną, której koloryt niesłychanie bogaty świadczył o wysokim guście i talencie malarza. W ganku kwiaty!

Tak jest, zeschła róża miesięczna, powiędłe dwa agapanthusy, ogromny aloes, cyprys biédak wychudły i siła geranium, teraz przeistoczonych na pelargonją. W kąciku wstydziły się karolinki z żółtymi jagódki i jakiś tam jeszcze chwast użyty na zatkanie próżni.

Sień do której weszli miała podłogę pomalowaną, ale w niej śmierdział lój i pomyje kredensowe do nie wytrzymania. Na prawo były drzwi salonu, ozdobnego w firanki amaranutowe z niebieskim, meble także i parapetowe drzwi z portjera (!) herbowną. Portjera ta, szyta była na kazimirku pąsową włóczką i wisiała krzywo, biédno, chudo, że aż żal było na nią patrzeć.

W poprzek salonu ni z tego ni z owego wyrwał się tak postawiony fortepian, że kąt ogromny odcinał, dla tego tylko, aby stanąć ukosem. Nic nie przystawało do ściany, wszystko go naśladowało, kanapy, stoły, miały minę, jak gdyby zląkwszy się czegoś uciekły na środek. A tak tych gratów było pełno, że z trudnością

można się było między niemi przecisnąć. Główny stół okrył się ogromną serwetą do ziemi i nie do twarzy mu z tém było wcale, ale któż wie co serweta zakrywała?? Nad kominem było zwierciadło w ramach — z papieru złożonego, okryte gazą od tych much niegodziwych, które dla niczego nieznają należnego szacunku, nawet dla tego co się złotem świeci. Zegar wyobrażający gmach gotycki z wieżą, stał dwojako, to jest stał i nie szedł. Obok pod kloszami dwa wazon-y z robionemi kwiaty. Na ścianach olejne obrazy, portrety Doliwów z herbami u góry, Magdalena i Michał Archanioł w czarnych ozdobnych swą prostotą i plamami ramach. Posadzka woskowana, ugiwała się elastycznie pod nogami.

Zaledwie weszli w ganek, sługa rozebrany skrył się za szklaną przegrodę i po chwili dopiero ukazał się w zgrzebnym spodniach i migdałowym z *herbami* fraku.

Pani i pan Doliwa, znaleźli się w salonie, z tonem powagi i protekcyj pełnym przywitani

Seweryna. Stary nie żenując się pozostał przy piecu, w szlafroku, rozkazawszy podawać herbatę. Jejmość rozsiadła się na kanapie milcząca, kwaskowata dając uczuć Sewerynowi, że śmiał przyjechać w surducie; a chociaż się z téj mimowolnéj niegrzeczności wymówił, nie wiele to pomogło.

Poczęła się rozmowa, panie odpuść! po cóż bym ja miał stenografować gdy tyle jój podobnych słyszeć musieliście, pełnych dumy, a uszczypliwych słówek, przekąsów, plotek i litościwych utyskiwań pozornych, z pod których tylko złość wygląda.

Każde tam zapytanie, odpowiedź każda, odchrząknięcie, kaszelek, ruszenie ręką, podniesienie ramion, miało głęboko wyrachowane znaczenie.

A ile nakręcań i wysilen, aby się ze wszystkim pochwalić, aby wszystko pokazać! Pan Doliwa chwalił się rodem, stosunkami, znaczeniem. gospodarstwem, majątkiem; pani salonem, fortepianem, biskupem stryjem, siostrą

marszałkową, znajomym księciem, kucharzem warszawskim i kto ich tam zliczy — czém! Pannicz muzyką, znajomością Warszawy, czytaniem romansami, poetyczną duszą. A żeby to wszystko w jedną rozmowę złączyć, zamalgamować, zlać, zbić i nigdzie szwa nie pokazać, ile sztuki, ile wybiegów, ile wyszafowanej zręczności.

Im gość poczetniejszy, tém wysilenie to większe. Z prostym bo żydem, widzicie, (i żydowi się w takich domach nie darowuje) nie ma ceremonij, bierze się go prowadzi i sypie mu kolejno wszystko jak z rękawa.

Patrzaj na to, zobacz to, posłuchaj to. Z szlachetką trochę trzeba zachodu, a wyżej, to już mozolna praca do prawdy. Pani Doliwowa nie bardzo się żenując z Sewerynem, doskonale była śmieszną. Przyszło do tego że dla większej impozycyi, kazała synowi grać na fortepianie walce Straussa, przez cały czas muzyki jego, potrząsając głową z głębokiego uczucia. Gdy skończył, dopiero spojrzała dumnie na gościa jak by mówiła.

— A cóż kochanku? a co? albośmy nie wielcy ludzie?

Ojciec z gębą otwartą wyekstazjowany także, admirował i w dłonie klaskał.

Podano herbatę!

Któż nas uwolni z niewoli herbacianej? kto nas upoważni do odmówienia bez niegrzeczności tej szklanki wody ciepłej, przygotowanej w kredensie przez brudnego sługę i gwałtem narzuconej, *sub poena indignationis*? Seweryu krztusił się, a pił, wylać nie było gdzie. Szczęściem gość jedzie, wszyscy do okien; on mógł podlać nią stojące palargonium, któremu niewiem jak uszła ta ciepła wanna.

— Któż to?

— Kto to?

— Pan Hasling.

Wszyscy siedli robiąc miny wzgardliwe. Pan Hasling niebardzo był lubiony i chętnie wyśmiewano się z niego, zwłaszcza u Doliwów, którzy chcieli być ludźmi dobrego tonu i poczynali

od nielitościwego z wszystkiego co ich otaczało szyderstwa.

Hasling potknął się na ganku i mało nosem nie zawadził o kolumnę pękłą, tak się śpieszył; potem potknął się powtórnie na progu, a pan Doliwa rzekł chrząkając.

— Pijany; będziemy mieli komedyję.

— Dziękuję panu za nią, odparła Jejmość, połamie mi *meble* i zwała *posadzkę*, buciskami.

Meble były tego rodzaju, których sztuka kupuje się po rublu; a posadzkę robił domowy cieśla.

Otworzy się drzwi i twarz pana sąsiada z oczyma wytrzeszczonemi, z czupryną najeżoną, z gębą otwartą, z wyrazem jakiegoś niepokoju, ukazała się w nich. Wszyscy poznali że Hasling nie był pijany, jak się domyślali, ale coś mu nadzwyczajnego trafić się musiało, bo wpadł piorunem, jaskając się pocałował z odgłosem rękę Jejmości, uściskał przytomnych i padł na krzesło zadyszany.

Potoczył wzrokiem.

— Co ci panie sąsiedzie? spytał Doliwa.

— Co mi! właśnie — właśnie miałem zacząć — Nowina, osobliwsza, nie pojęta nowina.

Jejmość i jegomość z krzeseł się zerwali i podbiegli ku niemu.

— Cóż to jest panie Hasling?

Rzecz niesłychana — Uważajcie państwo tylko — jeszcze cały jestem jak oparzony — głowę postradałem.

— Coś politycznego?

— Gdzie zaś! Nowina tycząca się nas wszystkich — okolicy.

— Ale mów że panie Hasling.

— Właśnie chciałem mówić.

Trzeba wiedzieć że nikt marudniej nie opowiadał, więcej śliny nie łykał, nie chrząkał, nie jękał się, nie gestykulował, nad Haslinga. Uciekano zwykle od niego, gdy mówić poczynął, bo z szczególnym talentem, każdą swą powieść poczynął prawie od potopu, a żadnej skończyć nie mógł — przerywano, bo końca by jej do sądnego dnia nie było. Zapowiedziana więc nowina,

gdyby nie malujące się na całej jego postaci wzruszenie, niepokój — byłyby pewnie rozpendziła wszystkich.

— Z rana wstawszy, mówił pan Hasling —

— Zaczynaj lepiej po obiedzie, przerwał pan Teodor.

— Ale proszę mi nie przeszkadzać!

Słówka tu wyrzucić nie można — Z rana tedy wstawszy.

— A czy nie można by w krótkości tak, summaryjnie — szepnął ojciec.

— Opowiem jak najkrócej, tylko mi dajcie mówić państwo.

— Otóż tedy — Na czémże stanąłem?

— Z rana wstawszy! powtórzył pan Teodor.

— Tak jest z rana wstawszy, panu Bogu się pomodliwszy —

— Kochany panie, a nie możnaby tych drobnych szczegółów —

— Jak mi Bóg miły, jadę nie nie powie-
dziawszy, jeśli mi państwo nie dozwolicie *detal-*
licznie wszystko opowiedzieć.

I ruszył się z krzesła —

— Ale nie gniewaj że się — siedź, mów, będziemy mieli cierpliwość — słuchamy, herbaty dla p. Haslinga.

— Herbata nie zawadzi! Słuchajcież.

Ciekawość zaostrzona była w najwyższym stopniu — Hasling dopiero postrzegł Seweryna — A i pan tu! witam!

— Witam!

— I dla pana to także ciekawa nowina!

Seweryn się skłonił w milczeniu.





WIELKA NOWINA.

ALFRED HOBART

WIELKA NOWINA.

Zrana wstawszy, panu Bogu się pomodliwszy, suknie na siebie wdziawszy, herbatkę wypilem i że to mi dziś wypadło być u Marszałka ruszyłem za tym przeklętym interesem moim w slacheckiej Opiece — Państwo wiedzą jaki mam interes w slacheckiej Opiece?

— Wiemy, wiemy!

— Prykazu mnie się dopomina zaległości, którą Bogiem i kwitem się świadczę, opłaciłem. Tandem zatachlowali Sekretarz i

z djabeł wie tam kim, a mnie każą drugi raz opłacać. Marszałek za mną, podałem do Gubernatora — i —

— Ale nowina, panie Hasling —

— Powoli, idziemy do niej —

— Jechałem tedy do Marszałka —

— I nie dojechałeś?

— Ale proszę mi pozwolić mówić! nie dojechałem, dla czego nie dojechałem, zaraz się to wyklaruje.

— Temi samemi tedy koniętami, tą samą bryczeczką, którą tu jestem, z moim chłopakiem Trofimem — jadę —

— Jedziesz i zajeżdżasz —

— A! na Boga, mówić przestanę —

— Cóż się tak rzucasz i gniewasz —

— Bo mnie to przerywanie miesza. Na czémże stanąłem —

— Jedziesz — stęknął Seweryn.

— Jadę, jadę, jadę, jadę — Państwo znają drogę odemnie, ku Nakotom droga piekielna! z korzenia na korzeń, z pnia na pień, z dyla na dyl, stuk, pęc, łup — okropna droga.

Jadę, jadę, przebyłem groblę do Nakotów prowadzącą, szatańską, nabiłem Trofima do brze w plecy, za każde szturchnięcie, już widzę Nakoty, już się cieszę, że dalej przynajmniej po gładkiej drodze się posunę. Kończy się grobla, tuż karczma — stój! wytechnąć potrzeba, wyciągnąć się — Wyciągam. Aż tu — powóz przed karczmą — Patrzę — nieznajomy. Co za lichy. Znam wszystkie powozy w sąsiedztwie? konie pocztowe? powóz nie wytworony, ale porządny dość, tylko że obłocony, owalany. Jakiś lokaj chodzi i tabakę zażywa, jakiś Jegomość otwiera drzwiczki i wyłazi. Ja — niby za potrzebą zbliżam się, mijam. On do mnie —

— Za pozwoleniem Wać pana Dobrodzieja!

— Co pan rozkaże?

— Pan z tych stron?

— O milkę —

— Zna pan Górów?

— Jak moją kieszeń — przyjaciel mój pan Kulikowicz tam mieszka.

— A więcéj nikt?

— A, pan Krajezy!

— A więcéj nikt?

— A nikt.

— A kogoż pan potrzebujesz? pytam tedy.

— Ja tu mam, powiada, interes do — Szuka pugilaresu — Ja jak na szpilkach. Nuż tedy drabować po pugilaresie. — A tak! tak! do Krajczego! do jego domu, w jego domu! Nie mógł byś mi pan Dobrodziéj rozpowiedzieć drogi?

— Najchętniej, powiadam, ale pan mi za to zechcesz choć nadmienić co to za interes.

— Nie ma w tém sekretu, mówi — proszę na tabaczkę —

I dał mi tabaki, a tabakę miał wyśmienitą, że nie pamiętam kiedym taką zażywał, przymówiłem się nawet, że mi trochę dał do tabakierki —

— Droga — tedy — mówię — idzie od Nakotów, podle dworu, przy Lamusie kręto w prawo na las. W lesie będzie krzyż, u krzyża

dwie drogi, wezmiecie się prawą, prosto, prosto do wsi — Od téj wsi, minąwszy trzecią chatę, u staréj gruszy —

— Przecież tę drogę wiemy — panie Hasling.

— Ale słuchajcież państwo — na czém sta-
nałem! A! podle gruszy, tedy — podle gruszy
w prawo ku błotku na grobelkę, grobelką
wprost do pierwszego mostku, potem za most-
kiem na lewo i jak strzelił do Górowa. A w Gó-
rowie dwa dwory, nowy pana Kulikowicza,
stary z drzewami Krajczego.

A teraz powiedz mi pan co za interes?

— Pan jesteś sąsiadem? mówi —

— Jestem.

— Ciesz że się —

— Bardzo mi przyjemnie że się mogę cie-
szyć — ale z czego?

— Z tego powiada, że oto pani Wojewodzi-
na za granicą Bogu ducha oddała, bezdzietnie
i bez testamentu.

— A dla czegoż mnie to ma cieszyć?

— Skutkiem tego ogromny, kilka miljonów

złotych wynoszący majątek, spada na synowicę Krajczego i pannę Scholastykę —

Wszyscy krzyknęli z podziwieniem —

— Panie Hasling, to bajka, to być nie może! kilkadziesiąt tysięcy, niech sto, ale miliony! Słyszeliśmy o Wojewodzinie, ona nie miała takiego majątku! Co się panu dzieje, on żartował z Wać Pana.

— Gadajcie zdrowi, nie jestem i ja w ciemnie bity. Mówię tedy — Żartujesz ze mnie Wać pan Dobrodziój, to być niemoże. A on *ad acta* do kieszeni, i prezentuje mi papier stemplowany, w którym stoi wyraźnie, trzy miliony kilkakroć *extra* mobiliów —

A co! nie nowina! zawołał.

Frasunek, kłopot, zdziwienie, niedowiarstwo, odmalowało się na wszystkich twarzach. Jeden Seweryn pobladł bardzo i musiał się zaprzeć na poręczu krzesła. Jejmość chodzić poczęła zamyślona, Jegomość ręce załamał i śmiał się; a pan Teodor czuba muskał i poświstywał.

— Ja zawsze mówiłem, odezwał się, że to było niegodnie, nie pięknie takie awantury wyrabiać, jawne niegrzeczności, pannie Scholastyce i pannie Marjannie.

— Cha! cha! rozśmiał się Hasling, a kto ich więcej narobił od państwa. To ja się tylko za nich zawsze ujmowałem, żaden z moich synów do tego się nie wniósł.

— Już co to, to wierutne bajki, gorąco zakrzyczała Jejmość, żebyśmy co im zrobili, bo — zawsze byłam dla nich grzeczną.

— I ja — dodał Jegomość, świadczę się całém sąsiedztwem.

— I ja, rzekł Hasling, do mnie nie mogą mieć żadnej urazy.

Twarz pana Teodora mówiła wyraźnie choć cicho:

— Pójdę i zwyciężę —

— Bo też to były niegodne te prześladowania, dodał Jegomość. To dobra familija, bardzo zacni ludzie!

— Oho! a pamiętasz pan, zawołał Hasling,

coście o nich mówili niedaléj jak przeszléj niedzieli?

— Co? my? a proszęż nie bałamucić, jeszcze by kto doniósł, na co sobie mamy robić nieprzyjaciół?

— Panie Hasling! panie Hasling! to się nie godzi! Hasling ruszył tylko ramionami.

— Moje sumienie czyste, rzekł, nigdy ani ja, ani żadna z moich córek nie odmówiła panie Maryi i Scholastyce miejsca w swojej ławce.

— A któż im odmówił? spytała kwaśno Doliwowa i ruszyła ramionami sobie — Zresztą, co nam do tego, że pobogacieją — nam to ni śmierdzi ni pachnie.

Pomimo tak wyraźnego zapewnienia, niepokój widoczny na twarzach wszystkich zdraźkał, jaki w tym wypadku udział brali. Seweryn, którego wiadomość ta jak kosą podcięła, byłby natychmiast uciekł, ale lękał się żeby go nie posądzono, iż chce wszystkich uprzedzić do Górową.

Hasling wypiwszy herbatę, zabierał się jechać niewiadomo czy dalej dokąd z nowiną, czy prosto do domu, gdy nadbiegł piechotą, z bliskiego dworku w płóciennym surduciku, takichże spodniach i czapce, z fajką na krótkim cybuszku pan Fabijan. Wieść piorunem lecąca doszła była już do niego, chciał się spotkać z Haslingiem i z własnych ust jego dowiedzieć, czy to prawda była, z czém do niego przyjechał arędarz z Nakotów.

Ukazanie się pana Fabijana, przyjęła Jójmość ruszeniem ramion z nieukontentowaniem.

— Niewiedzieć na co, mu to się tak rozchodzić, mruknęła.

A wykrzyknik ten nie był bez pewnej rachuby.

— Prawda? spytał na progu pan Fabijan — Dobry wieczór państwu! prawda to panie Hasling, co mi mówił arędarz z Nakotów?

— Jak mnie widzisz żywego?

— Ale niech no mnie pan opowie!

— Posłuchaj — Rano wstawszy —

— E! najniższy sługa, pan zaczyna od rana!

niech mi pan powie kwiat essencją! Panna Marjanna miljonowa?

— Nietylko panna Marjanna, ale i Scholastyka.

— Osobliwsza rzecz, zawołał chodząc po pokoju zamyślony przybyły.

Pani Doliwowa odezwiała się z kanapy.

— Teraz musisz pan żałować i za siebie i za matkę, żeście tym biédnym pannom tyle nadokuczali.

— Ja! rzekł zatrzymując się nagle Fabijan — ja!

— Pytam się któż więcéj! Juściż nie my!

— Ani my, szanowna pani! Moja matka do łez się zawsze rozczulała ich pozycyą.

— A nie puszczała ich usiąść przy sobie w kościele — dodał Hasling.

— Nigdy! to są potwarze! zawołał młody chłopiec — szanowaliśmy —

— A coś pan im i Krajezemu nawygadywał na kościelnych wschodach, niedaléj jak na piérwszy dzień wielkanocy?

— Ja? powtórzył Pokotyło? ja? niech się pani spyta, kto tam pierwszą grał rolę!

— Mój syn nadto dobrze jest wychowany, odezwała się z urazą pani Doliwowa, żeby się miał mieszać do takich awantur? my umiemy szanować nieszczęśliwych.

Spór ten groził przerodzeniem się w formalną kłótnię, gdy z drugiej strony nadbiegł, stryj pana Fabijana, porucznik Pokotyło; zdyszany, spocony i ledwie mówić mogący.

— Słyszeliście państwo — krzyknął w progu, nowinę osobliwszą — nowinę —

Gospodyni domu wyraźnie okazała nieukontentowanie.

— Patrzcie już wszyscy wiedzą! I odwróciła się od wchodzącego.

— Nowina taka, że do wiary niepodobna.

— Ja pierwszy ją miałem — przerwał pan Hasling.

— I to prawda?

— Sam widziałem tego prawnika, co pojechał do Górowa.

— Sam widziałeś?

— I pokazywał mi papiery.

— Papier — kwasno przerwała Doliwowa, jeden tylko papier powiadałeś?

— Papier czy papiery, dość że czytałem, milijony.

— A! jak że się cieszę! zawołał porucznik, teraz zostaną zawstydzeni wszyscy, co tę nieszczęśliwą familiję prześladowali! my tylko z Fabijanem wierni byliśmy nieszczęściu.

Przytomni parsknęli, porucznik osłupiał.

— Co to znaczy?

— Cha! cha! cha! trzymając się za boki wołał Hasling, teraz wszyscy są dla nich z przyjaźnią i szacunkiem.

Sąsiedzi rzucali na siebie oczyma ognistemi, a pani Doliwowa wyszła czerwona od gniewu do drugiego pokoju. kiwając na syna.

— Mój Teodorku, szepnęła mu — wyprawcie tam, jak możecie tych gości — potrzeba się nam naradzić, rzecz niecierpiąca zwłoki.

— Co mama każe?

— Trzeba ci pomyśleć, żebyś był pierwszy w Górowie, niby o niczem niewiedząc. Teraz wszyscy rzucają się tam jak krucy na pastwę! Chciwość obrzydliwa niemi już miota! Szkaradni ludzie! Nam trzeba z taktem i głową postępować. Mój Teodorku, jesteś młody, chwala Bogu przystojny, dobrego rodu, pięknego wychowania; pannie się podobasz łatwo — niegodzi się takięj zręczności opuszczać. Ale nade wszystko o to chodzi, żebyś był wprzód, nim inni; i niby niewiedząc o spadku. Ja także będę. Trzeba się nam naradzić, jak tylko się rozjadą, powiedz ojcu na ucho, żeby ich broń Boże nie zatrzymał na wieczerzę — broń Boże! słyszysz! musimy się naradzić!

Szybko wrzuciwszy tę myśl synowi w ucho, pani Doliwowa, weszła bokiem do pokoju i siadła z miną obojętności zupełnej na kanapie.

Żwawa sprzeczka tymczasem zajmowała przytomnych, nikt teraz przyznać się niechciał do prześladowań i niegrzeczności, każdy je zwał na sąsiada. Skutkiem tego zrzucania z je-

dnego na drugiego, skończyło się że nieprzytomny Kulikowicz musiał wszystko wziąć na swoje plecy.

Ledwie tak uradzono, gdy wózek Kulikowicza stanął przed domem.

— A to kara Boża! nasłanie! zawołała Jejmość.

Jeszcze w sieni, Kulikowicz już wołał.

— Prawda to? prawda to? a Hasling śmiejąc się odpowiedział mn.

— Sam widziałem, czytałem, mówiłem i tabakę zażywałem.

— Osobliwsza rzecz! Upadam do nóg, pani Dobrodziejki — Ot! niesłychany wypadek.

W tém postrzegłszy Seweryna dodał.

— Nasze układy za nic, ja nigdy nie upierałem się żeby odzyskać prędko moje. Tyle byłem powolny!

Seweryn się uśmiechnął.

— Alboż nie? Nikt lepiej nie życzył domowi Krajczego—dałem im dowody.

— To prawda! rzekł stary Doliwa.

— Sąsiadując w Górowie, nigdy im nie naprzykrzałem się jak inni, zawsze.

— A trzoda Krajezgo, do tej pory u pana.

— To bez mojej wiadomości! Ekonom—głupi Ekonom; zawszem mu wmawiał delikatność! W każdym interesie delikatność to pierwsza rzecz! Ale z temi gburami!

— Oj! prawda, że z gburami, zawołała rozniewana pani domu, wstając znowu z kanapy i wywołując Teodora.

— Teodorku! rzekła szybko — Już widzę co to się święci! Nam koniecznie potrzeba wszystkich uprzedzić! Ja ci powiadam, że teraz wszyscy pójda w konkury, a ten podły Diaczek Kulikowicz, gotów do panny Scholastyki smażyć cholewki. Na jutro każ przygotować sobie nasz kocz — jedź z ojcem. Już ja ojca nasztynuję. Pamiętaj że nic nie wiecie — nie wiecie o sukcesyi! Wezmiesz frak nowy od Sokołowskiego, liberjā, konie pójda gniade! Każę cię ufryzować — a bądź wesół i grzeczny — Cała rzecz, abyś w oko wpadł pannie i potra-

fił z siebie zrzucić, różne tam drobne niegrzeczności, które z płochości i cudzego poduszczenia mogło się zrobić — Bo może tam co i było, mówiąc między nami!

— O! i dobrze było! rzekł wzdychając pan Teodor, gdybym był mógł przewidzieć!

— Gdybym była przewidziała! stękając dodała Doliwowa, dawnobym u nich była z wizytą — Ale człowiek nigdy się w porę niczego nie domyśli. Teraz tylko żywo, a jeszcze możemy drugich uprzedzać! A teraz żeby się nie domyślali nadaremnie jakich konszachtów — wracajmy do pokoju!

Gdy się to dzieje, porucznik Pokotyło, żywo żegna państwa Doliwów i uchodzi uprowadzając z sobą synowca — wychodzą za bramę, chwytając za rękę Fabijana.

— Duszczenko — powiada po ciehu — jutro do Górowa my z tobą, wezmiesz z sobą muzykę. Trzeba korzystać z pory, ja do panny Scholastyki, ty do pięknej Marysi. A tak, jak gdyby nigdy nie! jakbyśmy nie o téj szalonej

sukCESSYI nie wiedzieli! Rozumiesz! — Chwała Bogu że do tych prześladowań podłych nie należeliśmy! Niech teraz żałują ci co w nie palce umoczyli! my nie mamy sobie nic do wyrzucenia.

— Djabła tam Stryjaszku, rzekł naiwnie pan Fabijan — A owe śmiechy w niedzielę —

— Alboż to ja?

— Ani ja!

— Juściż! to Kulikowicz wszystko robił?

— Nigdyśmy nie byli w Górowie —

— Ja znam trochę Krajczego, znajdziemy pretekst. Cała rzecz żeby innych uprzedzić.

— I myśli Stryj, że co wskóramy?

— Kochanku! zobaczysz. Nielarmo głowę noszę na karku! Cała rzecz żeby innych uprzedzić, bo to chciwcy, bo to się zaraz tłumem zleci teraz do Górowa — ale my niby nic niewiemy o tém —

Byli właśnie naprzeciw dworku pani Pokotyło, matki Fabijana, i zatoczyli się w dziedziniec.

Patryarchalny to był jeszcze dziedziniec,

ubrany jak Bóg przykazał, w to co do gospodarstwa posługiwało — rzędem naiwnie na soszkach bielily się motki, tuż na trawie schły czarne hładysze od mléka, dalej próżne nasypki i wywrócone beczki gawronily się w górę. Między dwoma staremi drzewami sznur zaciągniony utrzymywał świeżo wymytą i schnącą bieliznę — Na ganku, na ławeczce, pani Pokotyło w szlafrocжку perkalikowym, siedziała i motała nici dla agitacyi. — Nieopodal od niej chłopak bosy, wiązał niewód. Klucznica dawała jeść indyczętom, z wielką uwagą, aby sobie nosów nie porozbijały, na miękkiej trawce.

Porucznik ciągnący za sobą pana Fabijana, posunął się żywo do ganku.

— A jak się pan brat miewa?

— Dobry wieczór Jejmości.

— A wieć Mama nowinę!

— Co za nowinę?

— O sukcessyi?

— Na nas! podskakując zerwała się starszka.

— Ba, żebyż! ale na pannę Marjanę i Scholastykę, miljony!

— Jezu Chryste mój panie, a toż zkąd?

— Prawdziwie jak z Nieba! któż tam umarł —
i —

— Otóż tobie śmiech! a tyleśmy się nadržwi-
li z nich!

— My, kochana Mamo?

— A juściż kochanku!

— My! nigdy, zawołał pan Fabijan. Nawet Mama zawsze miała litość nad niemi i wybierała się do nich z wizytą —

— Ja! Fabku? w imie ojca —

— My jutro, rzekł z cicha Porucznik — jedziemy, trzeba z czasu korzystać. Prowadzę Fabijana do Maryi — Potrafi się podobać!

— A! ten kotek kochany, komu by się on niepodobał! składając ręce zawołała matka.

— Ja — przyznam się bratowej — także trochę myślę.

— Panna Scholastyka, nie stara jeszcze,
a ja —

— Niewiedzieć co! niewiedzieć co! śmiejąc się do rozpuku i klaskając rękami poczęła wołać stara Jejmość — A to cała komedia (pani Pokotyło była rodem z Gallicyi i dla tego mówiła *cała komedia*) — Ty! panie bracie! z panną Scholastyką! Cha! cha!

Poręcznik cofnął się obrażony widocznie.

— Cóż to tak zabawnego?

— A niechajżeż Fabcio do téj ślicznej Maryni (bo ja zawsze mówiłam, że Marynia śliczna panienka) — ale tobie panie bracie —

— Pani bratowa żartujesz sobie ze mnie?

— Ale bo panie poręczniku?

— Cóż mi brak?

— Ale panna Scholastyka bratuniu?

— Ot — powiem szczerze, że jeszcze wcale przystojna i co więcej, rozsądna bardzo; a grunt w małżeństwie na rozsądku i głowie. —

Stara ruszyła ramionami, poręcznik ciągnął dalej.

— Tak tedy, jutro rano jedziemy z Fabijanem.

Trzeba nam się tylko naradzić jak. Oto jedynym moim powozikiem sprzężem nasze konie do maści, moich gniadych para, waszych para, moje klacze w leje —

— Ale moje w dyszln niechodzą —

— A! i moje —

— A cóż będzie —

— Pojedziemy nie maścistemi — Wasan masz w co ubrać porządnie człowieka?

— Po kozacku!

— Dobrze, to teraz w książęcych domach się praktykuje — po kozacku —

— Poczekajcież no — przerwała Jejmość, trzeba dla Fabcia kazać wyprać i wyprasować maniszkę. —

I wyszła.

— A nadewszystko — dodał porucznik — cicho! sza! Jedziemy niby gdzieindziej, wступujemy, a o sukcesyji nic nie wiemy!

— Dobrze Stryjaszku!

— Dobra noc.

I Porucznik pośpieszył do domu.

Wszyscy powoli rozjechali się od państwa Doliwów, miotani jednemi myślami i z jednym prawie projektem.

Hasling pośpieszył do swojej wioseczki, gadając do siebie, przez cały czas drogi —

— Jadę do domu — starszego syna biorę i jutro do Górowa. Choć jestem wdowiec ale wyglądam Bogu dzięki, i — nie zgorzuję. Gdzie Porucznikowi do mnie, choć podobno młodszy! Cicho! rano, niby nie, z Adamem ruszemy — Adam chłopiec piękny, dla Maryi pretendent! Ja sobie, do panny Scholastyki — Zawsza miałem jakiś dla niej szacunek i sympatję! Dobrze bo to panna! i głowa nie lada! Krajczy choć do rany przyłożyć. Bardzo godni ludzie. Adam się podoba! oto! dziewczica z Śliwina szaleje za nim! chłopiec jak róża — A to się tam teraz konkurenci posypią!

Ledwie był w dziedzińcu, zeskoczył z bryczki i niemogąc tajemnicy utrzymać w sobie, klusem pobiegł do domku.

Dwór Haslingów stał w Olszynie starój.

Była to szlachecka zagroda, na lewo i prawo wsią otoczona, z sadem, lamusami, sérnikiem, stodołą i t. d.

Drewniany mieszkalny dwór o dwóch gan-
kach, z pochylonym dachem, otoczony płotkiem
z brzeziny, w którym rosły malwy i słoneczni-
ki wspańiałe, trochę był z jednéj strony zasunął się w ziemię. Dwie panny Hasling w bia-
łych spodniczkach i kaftanikach czy kacawej-
kach perkalikowych, używały świeżego powie-
trza koło domu. Ujrawszy ojca podbiegły ku
niemu.

— Adam w domu? zawołał zdyszany —

— Nie ma!

— Ot tobie na! a gdzie?

— W Śliwinie —

— Tak! przy owéj piękności! a tu! a wy nie
nie wiecie!

— Cóż mamy wiedzieć?

— Chodźcie, chodźcie do pokoju! To mó-
wiąc wpadł w ganek na lewo, potknął się na
siedzącym w progu kocie, klnął i upadł uderza-

jąc głową o niskie drzwi, do tak zwanego bawialnego pokoju.

Pokój ten z prostym półapem, na którym belki bez ceremonii wyciągały się z prostą ale czystą podłogą, wybielony świeżo, miał piec kaflowy i kominek zamurowany z parawanikiem szytym ręką starszej córki. Na gzymsie komina leżały dwie żółte tykwy i stali dwaj chin czycy gipsowi, kiwający głowami. Papuga podobno, pstro malowana patrzała w oknie. Hurmem się do niej parobcy schodzili, gdy głową kiwała. Lusterko w ramkach maloniowych od tualety, zdobiło komini o alabastrowych kolumnach, z bukietem kwiatów na czole.

Na ścianach dwa ogromne oprawne za szkła arkusze, z cyframi ojca, przez przywiązanych synów odmalowanemi i ofiarowanemi na imieniny jego; wykrzyknikiem *Vivat*, i palącą się na ołtarzach wdzięczności *ofertą uczuć życzliwych*; jaśniały.

Dwie rysowane kredką głowy, obok nich umieszczone, talent Haslingów młodych silniej

jeszcze dowodziły. Białe firanki z czerwoną frendzlą, zwieszały się u trzech okien. W koncie komoda czeczotkowa ubrana w filiżanki, kieliszki, dwa lichtarze i tacę czerwoną, współ z nowym samowarem, miejsce najwidniejsze zajmowała.

Tu stał i cybuch paciórkami szyty i wszystko, co dom miał najwytworniejszego na pokaz.

Ojciec padł na krzesło ze znużenia i począł stojącym opowiadać córkom, nieprzebacząc najmłodszemu szczegółom. Panny Wanda i Irena łamały ręce i wykrzykiwały.

— A! papo! a! osobliwość! a! oto zdarzenie!

— Niechaj Omelko siada na gniadego i jedzie za Adamem do Śliwina, żeby zaraz powracał.

— Siodło zabrał gumieny.

— Niech jedzie oklep.

— I gniady kula, uchylając drzwi odezwał się Omelko sam.

— To siadaj na dropiatą —

— A to co? rzekł parobek pokazując bosc nogi.

- Pożycz butów u Franciszka.
- O! właśnie on da!
- Powiedz że ja kazałem.
- Wiele to pomoże!
- Ireno! zawołał Hasling — ty to ułatwisz, idź, daj Franciszkowi wódki kieliszek i niech Omelko zaraz jedzie, słyszysz w ten moment.
- A i mnie kieliszek wódki — rzekł stojący we drzwiach.
- Jak powrócisz dwa! heroicznie rękę podnosząc zawołał pan — i groszy dziesięć.
- No! to jadę! ale panny świadkami co pan obiecał.
- Jedź, a wracaj z panem Adamem — słyszysz!
- Duchem, prę i wracam!
- A Julijan? spytał ojciec.
- Julijan poszedł na polowanie!
- A prędzěj, dodała Wanda, że koło bab co pszenicę dopielają.
- O! to najprędzěj — potwierdził ojciec, zwłaszcza jeśli tam jest Chwedora.

— A! jakże, jest!

— Pewnienteńko koło niej! oj! szalawiła! szalawiła!

Panny uśmiechnęły się odwracając skromnie:

— Ot i Julijan! zawołała Wanda.

Ogromny chłop, z fuzją na plecach i maleńką fajeczką w zębach wtoczył się do pokoju, mruczając jakąś piosenkę. Ubranie jego świadczyło, że wracał z polowania.

— Wiesz Julianie, zawołał szybko ojciec.

— Wiesz Julianie, zawołały obie panny.

— A co? spytał nie nchyliwszy głowy myśliwy.

Tu Hasling począł mówić żywo, panny sobie, słowem ledwie się zrozumieć było można.

— A dla czegoż to papa, posłał za Adamem? wycedził Julijan przez zęby, spotkałem Omelka na dropiatěj galopem. Klaczy zbawi.

— Bo jutro jedziemy z nim do Górowa.

A dla czegoż z nim? Patrzajcie! dodał, zawsze taki starszy u ojca lepszy, a ja —

— Już, już, poczniesz swoje!

— A pewnie że pocznę! Cóż to ja gorszego, żebym niemógł jechać do Górowa! Adam się bałamuci a ja. —

— A ty latasz za tą —

— Kto to ojcu powiedział?

— Myślisz że niewidziałem?

— No! a gdyby i tak było? Co to ma jedno do drugiego. A ojciec jedzie do panny Scholastyki.

— A tobie dudku co do tego?

— Do tego! albo i do tego! A co na to powie —

— A! trutniu ty jeden! ty jakiś! zapyrzony krzyknął ojciec, dam ja ci tu.

— Otóż to tak zawsze, mówił Julijan — a Adam —

Jak na toż i Adam się w téj chwili przystawił i wszedł do pokoju. Był to drugi tom Julijana z tą tylko różnicą, że dłuższe wąsy i barczystsze plecy.

— Ojciec posyłał za mną? spytał w progu.

— Bo latasz niewiedzieć gdzie, a tu —

I znowu poczęło się opowiadanie.

Julijan chodził i mruczał po niedzwiedziem; nareszcie zwrócił się do brata.

— Kiedy ty pojedziesz, czemu ja nie mam jechać?

— A jedź sobie!

— A jedź sobie! dorzucił ojciec; tylko że na mojej bryczce nas dwóch więcej niesiądzie.

Julijan wyszedł trzaskając drzwiami za sobą. Zaczęła się narada między ojcem, synem a starszemi córkami; Adam pokręcał węża i z tą ufnością jaką wzbudza świeże jeszcze szczęście uśmiechał się pewnym będąc, że Maryją jednem podbije wejrzeniem.

— Spuść się na mnie ojcze, mówił, już damy sobie rady, wiemy jak gdzie począć.

— O! ten łotr Adam, dodała Wanda uśmiechając się, takie ma szczęście.

— A gdyby się udało — rzekł ojciec, skaptować jeszcze pannę Scholastykę! wyobrażcie sobie! miliony!

Z tą myślą szczęśliwą i różowemi nadziejami, rozeszli się przygotowywać do jutrzej-

szęj podróży. My powróćmy do Doliwów, u których wielka po wyjeździe Seweryna i Kulikowicza, toczy się narada.

Jejmość prezyduje, Teodor pomaga, a poczciwe ojczyisko, siedząc wedle zwyczaju zimowego pod piecem, palcami kręci i głową i uśmiecha się.

— Dobry to koncept Jejmości — powiada, gdyby nie dać im poznać że wiemy o sukcesyji, nie! nie! wizyta — wizyta!

Ale oni teraz głowy zadra! —

— Czemuż nie! przerwała Jejmość miljony! Ale dzięki Bogu, mamy także coś za sobą, Teodorek się udał. — Nie może się nie podobać Maryi! A ród nasz, a ton na którym żyjemy — gdzie drugi dom podobny naszemu w sąsiedztwie?

— Co to, to prawda? naiwnie wynurzył się Pan Doliwa, — gdzie taki salon jak Jejmości? gdzie co podobnego? ja jestem pewny, że teraz wszyscy tam do Górowa jak kruki nalecą, ale nie mamy się co lękać rywalów.

— A Seweryn? przerwał Teodor, on oddawna stara się i —

— Dajże już pokój! z gniewem odparła matka, najprzód, co on ma? nie nie ma, dzierżawca; i powtóre, co za ton? co za mina? gdzież porównanie do ciebie?

— O tém nie mówię — z głębokiém uszanowaniem dla siebie przeglądając się w zwierciadle, rzekł Teodor, ale on zawsze był ze strony Górowa i z niemi, oddawna bywa.

— To nie! a myż byliśmy przeciw nich?

— Toż gdybyśmy chcieli, takżebyśmy potrafili upokorzyć. Nam to łatwiej było niż komu innemu; a przecież nie nadużyliśmy naszej wyższości. Zresztą bądź spokojny. Ja sama tam będę, i ja to biorę na siebie, ty tylko pannę rozkochaj.

Gdy Doliwowie radzą, konie sprzęgają, powóz myją i trzepią; Knlikowicz jedzie wprost do Górowa, do swego dworku, w czarnych myślach, podskakuje na bryczce i w głowę się bije.

— A! gdybym się mógł domysleć — *Zrób*

mene weszczym, budu bohatym! Teraz obrażeni być mogą na mnie, chociaż doprawdy nie ma za co? już lepszego sąsiada trudno. A i na te piętnaście tysięcy, tak dawno czekam, i cicho siedzę.

Przecież kiedy nikt nie myślał o Maryi, ja się już jęj oświadczałem? to coś znaczy. Mam za sobą *prioritas* której nikt tutaj nie ma. Lichowina dało te bydło zabrać, ale dziś jeszcze wieczór odeślę — i grzeczny list napiszę, niby nie wiem. To może być z dobrym skutkiem; bo wszystkich uprzedzę. — Z oczów Doliwom patrzyło że myślą syna swatać, ale zjedzą — potrafię im usłużyć i dowieść, że wszystkie te sceny, były z poduszczenia samėj Jejmości.

I to dobrze że ich mam pod bokiem, będę teraz mieszkał w Górowie, i na wszystko patrzył. Z resztą, gdyby Maryja nie chciała? Gdyby nie chciała?

Wszakże panna Scholastyka sama mi się oświadczyła? Mam świadków — było tak. Jeszcze nie stara wcale i — Jeśli ma w istocie

miljon, a jak Hasling powiada, to przeszło półtora — dla czego bym się z nią nie ożenił? Należałoby sprawić sobie frak nowy? He? A noż z tego nic nie będzie i nadaremnie się wyeksponuję? Granatowy jeszcze niczego. Dziś tedy byłło odeśle, bo jechać późno i niewypada, a jutro rano. —

— E! kto to wie! może i nienajgorzej moje interesa stoją!

Tak myśląc, ważąc, rozbierając, dojechał do Górowa Kulikowicz, i nie wchodząc do domu, pobiegł do Ekonoma żeby byłło odesłać Krajczemu.

Ale na nieszczęście, wedle dyspozycyi trzoda odesłana została już do taksy. Kulikowicz mało się nie wściekł. Trzech konnych posłano aby je zawrócić. Ekonom nie mogąc pojąć co się dzieje, sam pojechał za nią.

A Seweryn?

On siadł na konia i pożegnawszy stojącego w ganku Teodora. Puścił się klusem do domu. Młody Doliwa, nie bez celu wyprowadzał go

tak grzecznie, chciał zobaczyć, czy nie zwróci się do Gór owa? Lecz gdy wszysej tak pędzą w tę stronę, Seweryn smutny, blady, zgryziony z bolem głowy powraca do domu. Co dla innych było ponętą, jemu się nie przełamana stawia przeszkodą? Mógłżeby on ubogi, sięgnąć po rękę kobiety, która dając siebie, da bogactwa? Maryja mnie nie kocha! powtarza ciągle, Maryja obojętną jest dla mnie.

Dopóki mogłem im dopomódz, dopóki byłem im potrzebny nie opuściłem; teraz jestem wolny.

Z uśmiechem gorzkim na ustach, myśli o jutrze, o tém natrętném, bezwzględniém parciu się wszystkich tam, gdzie niedawno szyderstwy tylko, prześladowaniem i nielitościwą wzdardą biegli wyścigając się, na męczeństwo biédnej rodziny. Teraz Krajezy jest dla nich szanownym starcem, panna Scholastyka pełną rozsądku osobą, Maryja aniołem piękności i dobroci.

Kulikowicz nawet należy do szeregu pretendentów. — Przebiegając myślą wypadki dnia całego, zamysłouy staje przed domem Sewe-

ryn — Szczęściem, kobiety ze wsi, chorzy, ubodzy czekali na niego, musiał zapomnieć i o sobie i sąsiadach, zwracając się ku nim.



KONIEC TOMU PIERWSZEGO.



THE UNIVERSITY OF CHICAGO
LIBRARY
1207 EAST 58TH STREET
CHICAGO, ILL. 60637

—000—



Biblioteka Raczyńskich

JK 922



JK0922